BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

W DUNAROWSKI, Z. FIJAS, A. OLCHA, J. BRZOZA, J. PRZEWŁOCKA, J. KOPROWSKI, A. JACKIEWICZ — Wypowiedzi.
M. ŻMIGRODZKA — Młoda Orzeszkowa
T. PAPIER — Sprawa nauczycielki.
W. OZGA — Przebudowa szkolnictwa na wsi
J. POGAN — Dziadowskie budy.
T. RÓŻEWICZ — wiersze
S. CIEŚLAK — Przyjaźń polsko-niemiecka.
K. KĄKOL — Socjalistyczna dyscyplina
J. MARSZAŁEK — Marnują się kadry.
R. PRZYBYLSKI — Powieść o Dekabrystach
H. KIRCHNER — Podróż dyliżansem.

Rok VII Warszawa, dn. 2. VII. 1950 r. Nr 26 (257)

Uniwersytet Gdański Biblioteka
CIV 9037

Jan Aleksander Król

WPROWADZENIE

W początkach marca b. r. wyruszyło około stu pisarzy w teren, do fabryk i gromad wiejskich na okres trzech miesięcy. Akcja ta ma przełomowe znaczenie dla rozwoju naszej współczesnej literatury.

Nastąpiło wreszcie masowe zbliżenie się pisarzy do *nowego* życia. Dali oni dowód przekonania, że ostatecznie o rozwoju literatury decydują te same czynniki, które rozstrzygają walkę o wyzwolenie mas. Że trzeba znaleźć się na osi walki klasowej, która na obecnym etapie ruguje elementy kapitalistyczne i przyspiesza wzrost elementów socjalistycznych w kraju. Że nie ma mowy o dynamice literatury bez związku z dynamiką społeczną.

Minęły trzy miesiące. Nadchodzą sprawozdania pisarzy. Walny Zjazd Delegatów Z. Z. L. P., obradujący w tych dniach w Warszawie, winien uczynić z tych sprawozdań przedmiot specjalnej dyskusji. Trzeba pogłębić pierwsze doświadczenia literatów na ich drodze do spełnienia zadań pisarza socjalistycznego.

Zamieszczamy we „Wsi" kilka takich wypowiedzi sprawozdawczych.

Wiązanka ta mimo, że nie upoważnia do generalizowania zagadnienia, zwraca uwagę na trudności, jakie muszą przełamywać pisarze, aby móc dojrzeć istotną, klasową treść narastającej rzeczywistości. Celową zatem będzie analiza tej wiązanki i jej ocena.

Co możemy z niej odczytać?

Listy sprawozdawcze pisarzy — po pierwsze — potwierdzają doniosłość podjętej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki pierwszej wielkiej akcji wyjazdowej w teren.

„Nowe realia i nowi ludzie" — oto odkrycie, jakiego dokonali pisarze. Oto argument nowej rzeczywistości, którego wymowę muszą również zrozumieć wszyscy pozostali pisarze. Wóz albo przewóz. Jeśli tworzyć i być twórczym, to znaczy sięgnąć do nowych nie tylko zakresowo „realiów", do nowych *historycznie!* Nie tylko do nowych ludzi w znaczeniu innych bohaterów, niż ci, którzy dotąd zapełniali burżuazyjną i drobnomieszczańską powieść — do reprezentantów *nowych, roztrzygających* sił społecznych!

Listy pisarzy wyrażają upojenie, równe i podobne tym milionowym masom, które po latach bezrobocia otrzymały w nowej Polsce warsztat pracy i materiał do produkcji. Nie trzeba sztucznie wymyślać — czytamy w listach — tworzywo samo wchodzi do ręki, mamy co brać.

To upojenie jest sugestywne, może i powinno zmobilizować wszystkich pisarzy. Ale dlatego należy szczegółowiej rozpatrzyć źródła i nurt z jakiego to powszechne upojenie wypływa.

Co występuje pod pojęciem „nowych realiów" w listach pisarzy? Ośrodki produkcji: fabryki, kopalnie, P. G. R., spółdzielnie produkcyjne. Słowem to, co jest rzeczywiście naszą dźwignią w walce klasowej o wypieranie elementów kapitalistycznych i szybki wzrost socjalistycznych. Ale skokowego uprzemysłowienia (Plan 6-letni) i stopniowej przebudowy rolnictwa na modłę socjalistyczną nie można oglądać i przedstawiać w oderwaniu od walki klasowej, której te procesy są właśnie dźwignią!

A w sprawozdaniach pisarzy związek ten jest więcej niż rozluźniony — prawie zanika. Rozwoju sił wytwórczych, rozmachu i tempa produkcji — nie ustawiają pisarze ani w perspektywie przeciwieństw antagonistycznych, wzmaganych coraz ostrzejczą walką klasową, ani w perspektywie pierwszych zalążków przeciwieństw nie antagonistycznych, w perspektywie konfliktów socjalistycznych.

A. Jackiewicz pisze: „Zafascynował mnie wysiłek załogi, zainteresował mnie problem wzajemnej współpracy robotników, inżynierów i uczonych". — Dla I. Krzywickiej: Żyrardów to „jakież oddanie pracy produkcyjnej". J. Przewłocka chce napisać książkę o marynarzach, w której „pulsowała energia, wyzwolona rękami przodowników pracy, palaczy i trymerów". Z. Fijas apeluje do pisarzy o pieśń na cześć pracy spółdzielni ogrodniczo - warzywniczych aby wzmóc ich wydajność, która jak mu się wydaje, zależy tylko od ambicji zawodowej działaczy — ogrodników i ich racjonalizacji produkcji i jej zbytu. J. Koprowski stawia kropkę nad i „Praca — to jest ten główny czynnik, poruszający serca i umysły ludzkie". J. Brzoza stwierdza, że na kopalni „Anna" „bumelanctwo prawie nie istnieje, roboty wykonane są solidnie. U Wł. Dunarowskiego znajdujemy pełną wykładnię takiego, wyzwolonego z toku walki klasowej, rozwoju produkcji w Polsce Ludowej i jej wpływu na masy chłopskie. „Zatem na przeobrażenie zupełne wsi góralskiej wpływają nowe narzędzia pracy, korzystniejsze warunki pracy na roli, możliwość zbytu produktów, bliskość miasta oraz kolei, sąsiedztwo zakładów przemysłowych, świetlica i partia".

Nie i jeszcze raz — nie! Na przeobrażenie zupełne wsi na to, że może „zafascynować" wysiłek załogi fabrycznej, że „praca porusza serca i umysły robotników", że wzmaga się „oddanie jej", że roboty są „wykonywane solidnie" wpływa walka z wrogiem klasowym. Wpływa rozsnąca świadomość tej walki w klasie robotniczej i wśród chłopstwa drobno i średniorolnego.

„Pamiętajmy — mówił minister Berman do pisarzy na konferencji przedwyjazdowej — że walka toczy się w skali międzynarodowej, że nie jesteśmy odizolowani, że jesteśmy obiektem bardzo zaciekłej penetracji wroga, ekspozytur amerykańskiego imperializmu, ekspozytur, które rekrutują się z rozbitków i niedobitków klas druzgotanych, kapitalistów obszarników, policjantów, dwójkarzy i wykolejeńców.

Myśmy na plenum Centralnego Komitetu (III) zmobilizowali czujność klasową i dzięki zmobilizowaniu tej czujności potrafiliśmy ukrócić nie jeden spisek, nie jeden zamach, nie jeden wypad wroga i ta dramatyczna walka pełna napięcia, pełna niebezpieczeństw toczy się codziennie, toczy się w poszczególnych zakładach pracy. I im bardziej świadoma, im bardziej czujna, im bardziej bojowa jest postawa robotników, tym bardziej nikłe są wyniki tej akcji wroga".

W jakich granicach widzą pisarze „nowych ludzi"? Są to te same najczęściej granice, jakie postawił sobie dla „nowych realiów", dla zakładów i ośrodków produkcji. „Ludzie których spotkałem — jak pisze Koprowski — ich stosunek do pracy, entuzjazm, nieustanny wysiłek produkcyjny — oto sprawy, które mnie najbardziej zainteresowały".

Skąd się bierze entuzjazm i nieustanny wysiłek? Autorowi wystarcza jako odpowiedź fakt, że świniarzowi Wodzisławskiemu jest teraz „sto razy lepiej" i „robotę swoją lubi". „Dlatego — wnioskuje — praca daje rezultaty. Dlatego rozwija się współzawodnictwo. Dlatego podnosi się stale ilość i jakość produkcji".

Widać wyraźnie, że pisarz wyprowadza wnioski z niepełnego układu przesłanek. Brak podstawowych! „Sto razy lepiej" jest osiągnięciem i zapowiedzią jeszcze większej pomyślności. Ale czego osiągnięciem, czego zapowiedzią? Rewolucji i dalszej walki! Czego rezultatem i narzędziem „lubienie roboty" — jak nie rewolucji i walki o realizację nowego ustroju? W tym nurcie autor nie śledzi nowych ludzi. „Ludziom rozwidnia się w głowach i wszystko idzie ku coraz lepszemu. Porządek z każdym dniem lepszy i dyscyplina pracy się podnosi". Tak widzieć tzn. grzęznąć w fałszywym stwierdzeniu *dziwności i spontaniczności* rozwoju socjalistycznej produkcji, w łudzeniu siebie i czytelnika *automatyzmem* postępu. *W niewidzeniu wroga klasowego i walki.*

Pisarzom wydaje się, że w ten sposób ukażą przemiany. J. Brzoza pisze o górnikach, mieszkających na wsi. „Twarze mężczyzn są pogodne, kobiety tyją, dzieci chodzą w sandałach i noszą w futerałach skrzypce i akordeony. W małym Przowie widać olbrzymie zmiany na lepsze". Pisarz widzi naprawdę zmiany dopiero wówczas, kiedy pokazuje ich mechanizm, kiedy pokazuje każdą dźwignię tych zmian na osi napędowej konkretnej walki klasowej.

Brzoza widzi w Przowie zmiany na lepsze za przyczyną „solidnej roboty" na kopalni i „dużego uświadomienia politycznego górników. Znów zatem wracamy do podstawowego pytania: a skąd solidna robota, skąd uświadomienie polityczne? Co decyduje o treści i stopniu tej solidności pracy i uświadomienia politycznego?

Pisarze *nie ukazują* nowych ludzi, *jako uczestników określonego etapu walki klasowej.* A tę pomocną dyrektywę podawał im przed wyjazdem min. Berman. Trzeba — mówił — rozeznać i trafnie uchwycić „rolę nowych, żywych ludzi, wyrastających w tej walce... nowego ze starym". Pisarze zsuwają się do opisu nowych ludzi, ale opis nie jest neutralny. On też interpretuje i wyjaśnia. Tylko, że w sprawozdaniach pisarzy, często wyjaśnia nowych ludzi jako *typ duchowy,* nie jako walczących członków swojej klasy. Tak Krzywicka wykrzykuje w obliczu robotników żyrardowskich. „Jakaż ideowość, jaka inteligencja, jakie oddanie pracy produkcyjnej i społecznej, jakie zalety charakteru"! Dunarowski również wyjaśnia przemiany przy pomocy modelów duchowych — „dziś każdy światlejszy chłop marzy o umieszczeniu syna w fabryce.... przeszkadzają (zaś) ludzie ciemni, zacofani, do których nie może trafić żadne rozsądne słowo". Chce pisać powieść o wsi, „która przezwyciężyła w sobie *karłowaciznę* życia".

Jackiewicza ciekawi „jakie motywy *wewnętrzne* wyzwoliły w tych ludziach nie spotykaną przed wojną dynamikę twórczą". „Ile słabości, dawnych nawyków opurtunizmu i bierności musieli sami w sobie pokonać".

Motory były i są zewnątrz. Rewolucja i walka o nowy ustrój! Ta walka i udział w niej pokonywają w obiektywnym osiąganiu zwycięstw politycznych i produkcyjnych nawyki i słabości z dawniejszego okresu walki i miejsca w tej walce. To żadne izolowane, „wewnętrzne" zabiegi w sobie samym!

Kiedy się nie widzi walki klasowej, nie widzi się w konsekwencji Partii. Koprowski, owszem, mówi o przodownikach na P.G.R.-ach, „że wielu z nich to aktywni członkowie PZPR-u". Jest to uprzejmość pisarska, ale nie świadomość socjalistyczna. Nie można odrywać partii od walki klasowej. Ona jest czołowym oddziałem klasy robotniczej, wytycza jej walce strategię i taktykę. Określa i wskazuje wroga.

Pisarze z naszej wiązanki dają odbicie nowej rzeczywistości: nowej dynamiki produkcji, nowych ludzi... *bez wroga!* Tłem próżnia. Nie ma więc walki, nie ma jej kierownictwa, nie ma jej wroga klasowego.

A min. Berman przypominał przed wyjazdem: „W toku walki o nowy ustrój społeczny odbywa się u nas proces kształtowania się aktywu. Tak się formuje aktyw najczynniejszych, aktyw partyjny. I nie potrafi nikt zrozumieć tego, co się u nas dzieje, jeśli nie zechce zrozumieć roli partii, roli aktywu partyjnego".

Wartość plonu konkursu na reportaż, jaki zebraliśmy we „Wsi" jeszcze przed akcją wyjazdową pisarzy w teren, polegała właśnie na tym, że uczestnicy: pisarze, korespondenci i czytelnicy odsłonili istnienie, siłę, pomoc i kierownictwo partii w procesie różnicowania się politycznego wsi, które wyzwala utajone przeciwieństwa i antagonizmy, przyśpieszając proces dojrzewania walki klasowej.

W sprawozdaniach pisarzy zwraca uwagę typ powiązania z „nowymi realiami i nowymi ludźmi". W większości pisarze są obserwatorami. Właśnie — „nie trzeba wymyślać", „tworzywo włazi samo do ręki". Pisarz jest „raczej stroną biorącą". Łapie, gdzie chce i kogo chce „za rękaw", „grasuje".

Bardzo odmienne jest pod tym względem sprawozdanie H. Worcella. W tym sprawozdaniu najpełniej odbił się postulat, min. Bermana: „Trzeba pamiętać, że marksizmu nie przyswaja się tylko z książek, przyswaja się go również *z własnych doświadczeń, z bezpośredniego, osobistego udziału w walce codziennej".*

Worcell napisał coś w rodzaju życiorysu z okresu powojennego, nie mógł wyciągać „kasztanów z ognia" do powieści z pozycji obserwatora. W walce działacza, który płacił zagrożeniem życia, honoru, pozycji społecznej i politycznej zdobywał prawdę o rzeczywistości, kształtował i konkretyzował swoją ideologię pisarza; urabiał swoje pisarstwo jako narzędzie walki klasowej.

W jego sprawozdaniu „nowe realia i nowych ludzi" od pierwszego do ostatniego zdania powołuje i rozwija do życia walka klasowa, rozstrzygająca rola partii, jej rozwój rewolucyjny, jej starcia z wrogiem klasowym, nieraz wnikającym i do jej wnętrza.

Podobnie w wypowiedzi Olchy widać pełną świadomość, że to, co nowe, wyrasta w ogniu walki klasowej ze starym.

Nie wierzymy zresztą, aby doświadczenia z terenu miały u któregokolwiek z pisarzy pójść na marne. Bo nawet to, co się wymknęło z ich sprawozdawczych wypowiedzi, czego tam nie dopowiedzieli, stanie przed nimi z całą ostrością przy konkretnym rozpracowaniu literackim terenowego materiału. Okaże się wówczas, że bez ukazania walki, w której rośnie nowa, dostrzegana przez nich rzeczywistość, nie można dać jej prawdziwego obrazu. Okaże się wówczas, że przez umiejętność widzenia i demaskowania wroga klasowego i rosnących w walce z nim nowych ludzi — pisarze oddziaływują na sam rozwój procesu produkcji, w którym fundamentalnie rośnie nowa rzeczywistość.

I tak trzeba rozumieć hasło: pisarze do produkcji!

W tym wprowadzeniu do sprawozdań pisarzy nie szło nam ani o krytykę ani o pochwałę poszczególnych pisarzy. Szło nam o zasygnalizowanie konieczności pogłębienia przez pisarzy ich doświadczeń terenowych. Do tego jest potrzebna dyskusja. I nasza i dalsze! Stawiamy pisarzom, w odniesieniu do ich doświadczeń z akcji wyjazdowej trzy pytania: czy ich sprawozdania dają odbicie rzeczywistości, czy ich wyraz ideologiczny jest w pełni socjalistyczny i czy powieści, spełniające wytyczne tych sprawozdań, byłyby narzędziem walki klasowej?

Jan Aleksander Król

Henryk Worcell

ODPOWIEDZIALNOŚĆ OSOBISTA

Moje doświadczenia na terenie wsi? Jakże łatwo mi o nich mówić, gdy chodzi o okres lat ubiegłych i teren powiatu bystrzyckiego, gdzie przebywałem blisko 5 lat — jak trudno teraz, kiedy przeniosłem się w okolicę Nysy. W powiecie bystrzyckim wróg klasowy wobec słabego aktywu partyjnego zachowywał się wyzywająco nie krył się, nie maskował. Tam otwarcie szczerzył do mnie zęby. Natomiast w powiecie Nyskim, gdzie aktyw partyjny i uświadomiony element spółdzielczy stanowi pokaźną siłę, wróg klasowy jest zamaskowany — tu szczerzy do mnie zęby, ale w uśmiechu. Tam był bezczelny działał otwarcie, tu jest ostrożny, stosuje nową taktykę walki.

Żeby nie być gołosłownym opowiem w skrócie swoje perypetie z okresu, który z powodu mojego reportażu „Rewolucja w Guranowie" nazwę okresem guranowskim. Nawiasowo muszę zaznaczyć, że reportaż ten łatwo było mi napisać, gdyż materiału miałem aż za dużo i zdobyłem go dosłownie na własnej skórze. Przeżyłem masę konfliktów z tamtejszymi ludźmi. Inaczej być nie mogło. Jako pisarz i jako dojrzewający socjalista musiałem się znaleść w poważnym zatargu z tamtejszą reakcją polityczną i tamtejszą szajką złoczyńców (co na jedno wychodzi, bo jak wielokrotnie stwierdziłem każdy złoczyńca jest wrogiem socjalizmu. Natomiast, trzeba lojalnie przyznać, nie każdy wróg socjalizmu jest pospolitym złoczyńcą). Jakie rozmiary przybrał ten konflikt, na jakie niebezpieczeństwa byłem narażony, niech świadczą następujące fakty:

Kiedy ujawniłem milionowe nadużycia tamtejszego sołtysa i jego wspólników, kiedy tego sołtysa aresztowano, do tamtejszego Urzędu Bezpieczeństwa wpłynęły doniesienia, oskarżające mnie o wrogi stosunek do Polski Ludowej. Znalazło się nawet pięciu takich, którzy własnymi podpisami potwierdzili jakobym na pewnym zebraniu krzyczał „precz z komunizmem"!

W tydzień później odbyło się zebranie podstawowej organizacji PZPR, na którym większością głosów wykluczono mnie z partii. Z szczególną zaciekłością atakował mnie przyjaciel aresztowanego sołtysa sekretarz PZPR, zarzucając mi, że szkodzę ludziom, robię zamęt we wsi, piszę do gazet i wywlekam różne brudy.

W jakiś czas po tym do redakcji „Chłopskiej Drogi" wpłynął list paskudnie mnie oczerniający. List ten znalazł się w Ministerstwie Kultury i Sztuki i w Zarządzie Związku Literatów Polskich. Jakie rzeczy w tym liście były, jakie paskudztwa, trudno w tym miejscu powtórzyć.

Dla sensacji wspomnę tylko, że zarzucono mi jakobym za swoją powieść (t. zn. niewydany „Odwet") otrzymał pół miliona zł., że te pół miliona przepiłem i, — żeby dalej pić sprzedałem poniemieckiego wołu. Że pewna autochtonka, za którą się ująłem i która wspólnie ze mną oskarżała sołtysa — jest moją kochanką. Że jestem zwolennikiem Andersa i czekam na wojnę itd. itp.

Wreszcie doszło do tego, że nie wolno mi było samotnie pokazać się wieczorem we wsi, urządzano na mnie zasadzki, kilkakrotnie musiałem się ratować ucieczką do sąsiadów. W domu wybito mi szyby okienne, skradziono pasy od młocarni, zdeptano i powyrywano jarzyny w ogrodzie, rzucano kamienie do zboża itd. itd. — wreszcie jakiś zbir pokłuł nożem mojego pomocnika tak, że ten dwa tygodnie nie był zdolny do pracy i to w okresie żniwnym.

Wspomnę też o mojej żonie, która jest Polką pochodzącą spod Żytomierza. Tam ukończyła kurs agronomii, była sekretarką komsomołu i pracowała w dużym kołchozie. Była i pozostała gorącą zwolenniczką ustroju komunistycznego i jako taka musiała mieć wrogów wśród guranowskich zacofańców. Oskarżono ją przed władzami, że jest białogwardzistką (co było nie tyle tragiczne, ile śmieszne, bo w roku 1922, kiedy się moja żona rodziła białogwardzistów w Rosji już nie było) przezywano „czerwoną małpą", „parszywą kołchoźnicą" itp. — jednym słowem szykanowano na każdym kroku. Nic dziwnego, że w tych warunkach kobieta dostała rozstroju nerwowego i że teraz musi się leczyć na serce.

Byłoby nam znacznie gorzej, gdybyśmy nie mieli tam przyjaciół, ludzi postępowych i walczących: korespondenta rolnego Oleszkę, nauczycielkę, mechanika ośrodka maszynowego i całą grupę robotników leśnych.

W lecie ubiegłego roku odbyła się wreszcie rozprawa sądowa przeciwko [illegible]sowi. Skazano go na dwa lata więzienia i pozbawienie praw obywatelskich. A jednak z partii go nie wykluczono. W dalszym ciągu zabierał głos na zebraniach i terroryzował wieś. Czuł się pewny siebie, miał poparcie gminy i w powiecie. O tych skandalicznych stosunkach panujących w tamtejszych kołach partyjnych powiadomiłem KC PZPR. Sołtysa, który mimo wyroku ciągle pozostaje na wolności, wykluczono wreszcie z partii. Wkrótce ma się tam odbyć gromadzkie zebranie, na którym poddamy ostrej krytyce szkodliwą działalność tej kliki. Rewolucja w Guranowie trwa.

Od dwóch miesięcy przebywam w okolicach Nysy. Tu są ziemie urodzajne, tu już mamy największe zagęszczenie spółdzielni produkcyjnych w Polsce, tu, stosując pracę zespołową, możemy cudów dokonać — powiat Nyski w ramach planu sześcioletniego stanie się olbrzymim spichrzem zbożowym. Byłoby naiwnością przypuszczać, że wróg klasowy nie buduje tu swoich okopów. Buduje, tylko że okopy te są bardziej zamaskowane, niż w powiecie bystrzyckim. Tu np. wyraźnie pracują t. zw. „nadgorliwcy", którzy swoją celową i szkodliwą aktywnością wywołują oburzenie i ferment wśród ludności. Takimi nadgorliwcami będą np. członkowie zarządu pewnej spółdzielni produkcyjnej, którzy obsiewają burakami cukrowymi 40 ha, licząc na to, że spółdzielcy nie podołają obróbce tak wielkiego obszaru. Takim nadgorliwcem jest człowiek, który każe burzyć cmentarz niemiecki, by spowodować oburzenie ludności przeciwko rządowi i partii. Innego rodzaju wrogiem klasowym jest przywódca duchowy „Świadków Jehowy", który wypełniając zlecenia „odgórne" odmawia złożenia podpisu pod Apelem Sztokholmskim i motywuje tę odmowę względami religijnymi.

Tu i plotka i szeptana propaganda przybiera perfidniejsze, niż gdzie indziej formy.

W tych warunkach rola pisarza i jego obowiązki są szczególnie trudne. Pisarz nie powinien się ograniczać do obiektywnego notowania zdarzeń. Powinien bezpośrednio wpływać na przebieg tych zdarzeń, powinien być nietylko pisarzem, ale i działaczem społecznym. Tym obowiązkom musimy podołać.

Henryk Worcell

Irena Krzywicka

DOŚWIADCZENIA ŻYRARDOWSKIE

Obrałam dla studiów Żyrardów, bo chodziło mi o fabrykę z przeszłością i z tradycją rewolucyjną, jako że wspomnienia starych robociarzy mogą mi być użyteczne do opracowywania dalszych tomów cyklu „Martenów". Jednocześnie chciałam robić zestawienia między dawnym a nowym i obserwować przy bezustannym zestawianiu z przeszłością zdobycze klasy robotniczej w Polsce Ludowej. Wydaje mi się, że osiągnęłam pożądany rezultat. Doświadczenia żyrardowskie stały się dla mnie bardzo poważnym i bardzo głębokim przeżyciem, które z pewnością znajdzie wyraz w moich następnych książkach. Już obecnie piszę cykl reportaży, które mają dla mnie charakter doraźnych notat z rzeczy widzianych i słyszanych, a które drukuję obecnie w „Rzeczypospolitej", zanim ukażą się w wydaniu książkowym pt. „Czerwony Żyrardów". Notaty te, to pierwsza przeróbka surowca, dalsze ukażą się w powieściach.

Umożliwienie pisarzom wyjazdu w teren uważam za inicjatywę niezmiernie doniosłą i twórczo płodną. Skorzystałam na tym niezmiernie wiele i choć nie wiem, czy uda mi się tym przeżyciom nadać należytą formę artystyczną, czuję się dużo bogatsza. Poznałam nowe realia, a nade wszystko nowych ludzi. Tu muszę zaznaczyć, że ze strony robotników spotkałam się z najdalej idącym zrozumieniem, z całkowitą serdeczną sympatią, z gotowością całkowitej pomocy. Nie przeżyłam ani jednego, dosłownie ani jednego zgrzytu. Pracowałam cały czas w atmosferze już nie tylko życzliwości ale przyjaźni, długich, serdecznych rozmów, gorliwego pokazywania mi wszystkiego, co chciałam zobaczyć. Muszę wyznać, że byłam raczej stroną biorącą, niż dającą, ale też z jakim zrozumieniem dla celu mej pracy się spotkałam! Byłam w najbliższym kontakcie z Radą Zakładową, byłam i pozostanę nadal bo nie chciałabym moich kontaktów z Żyrardowem ograniczyć do trzech ani nawet czterech miesięcy (uzyskałam już na 4-y miesiące przedłużenie na prawo „grasowania" po fabryce). Uważam, że ten kontakt powinien być trwalszy jako cenny dla obu stron. Nie mogąc wskutek nawału prac, m. in. dziennikarskich siedzieć stale w Żyrardowie, jeżdżę tam bezustannie i zawsze z najżywszą radością.

Mogę tam zaobserwować na gorąco typ tak trudny do utrwalenia na kartach powieści typ „pozytywnego bohatera". Niejednego takiego widzę i znam. Nie są to ludzie bynajmniej bez wad, ale jakaż ideowość, jaka inteligencja, jakie oddanie pracy produkcyjnej i społecznej jakie zalety charakteru! Nie mogę powiedzieć, aby było ich nazbyt wielu. Ale zdają oni sobie sprawę że ich zadaniem jest oddziałać na masy i wydobyć z nich najcenniejsze jednostki, które będą mogły ich zluzować w pracy. Liczą głównie na młodzież ZMP. Wśród młodzieży ZMP też poznałam świetne i twórcze typy. Słowem świat nowych ludzi, nowych zagadnień i najciekawszych, żywotnych konfliktów. Muszę jeszcze dodać, że początkowa, chłodna uprzejmość poznawanych przeze mnie ludzi zamieniła się rychło na serdeczną życzliwość, która pozwoli mi coraz lepiej poznawać teren.

Irena Krzywicka

Władysław Dunarowski

Materiał do nowej powieści o wsi

Przebywałem w terenie od 23 marca br. do 10 czerwca. Przedmiotem moich obserwacji była Opolszczyzna, a w szczególności: PGR zespół Kujawy, pow. Prudnik; Dąbrowa Namysłowska, pow. Namysłów; zakłady przemysłu leśnego w Pokoju k/Opola. Ponadto z ramienia „Czytelnika" wziąłem udział w akcji „Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy" i od 1.V. do 15.V. objechałem 4 powiaty woj. pomorskiego: Lipno, Rypin, Brodnica, Nowe Miasto, dając w 13 miejscowościach 15 wieczorów autorskich przy frekwencji od 100 do 450 osób.

PGR, zespół Kujawy, pow. Prudnik. Okolica zamieszkała wyłącznie przez autochtonów. Jaskrawa różnica między starszym pokoleniem a młodzieżą, która szybciej ulega repolonizacji. Zwłaszcza po objęciu stanowisk w urzędach, czy innych zakładach pracy. Stąd środowiska wiejskie wolniej ulegają przeobrażeniom ideologicznym, trudniej pozbywają się zakorzenionego wśród autochtonów oporu. Rola PGR-u ważna: budzić szacunek dla kultury rolnej a w następstwie — dla polskości, wciągać młodzież do pracy, a zdolniejsze jednostki — po odpowiednim przeszkoleniu — wysuwać na odpowiednie stanowiska. Dotychczasowe rezultaty świadczą korzystnie o administracji PGR-u zespół Kujawy, okręg Opolski, o pojmowaniu przezeń swej wielostronnej misji. Podczas pobytu w Kujawach specjalnie interesowałem się wynikami pracy w PGR-rze, przeobrażeniami ideologicznymi wśród pracowników fizycznych oraz umysłowych, a zwłaszcza tych, którzy drogą awansu społecznego osiągnęli kierownicze stanowiska. Dyrekcja dokładała starań, by mi ułatwić poznanie pracy w poszczególnych majątkach, należących do zespołu Kujawy. Dąbrowa Namysłowska, pow. Namysłów. Wieś osadnicza z małym procentem autochtonów. Osadnicy z Podhala i zza Buga. Tu zwracałem uwagę szczególnie na przemiany kulturalne, spowodowane wyższą stopą życiową, na narastanie nowego światopoglądu. Większość osadników przybyła gnana „głodem ziemi" pojmowanym bardzo ciasno. Świat fabryki, życia robotniczego, był im zupełnie obcy. Dziś każdy światlejszy chłop marzy o umieszczeniu syna w fabryce, a ci małorolni, którzy stali się robotnikami, są we wsi na pierwszym planie tak pod względem stopy życiowej jak ogólnego zainteresowania. W promieniu 7 km. znajdują się 3 zakłady przemysłowe (tartak, cegielnia i wytwórnia sztucznego włosia), które przyczyniają się do korzystnych przemian w życiu psychicznym, gospodarczym i kulturalnym okolicznych wsi. Jeżeli chłop nie może wyżyć z małego kawałka roli, nie trzyma się jej w ślepym przywiązaniu, ale traktując ją jako warsztat pracy — zamienia na inny korzystniejszy: idzie do fabryki, na kolej, do spółdzielni i przysłuchuje się rozmowom o spółdzielni produkcyjnej. Przeszkadzają ludzie ciemni, zacofani, do których nie może trafić żadne rozsądne słowo. Tacy biedują i narzekają na brak pieniędzy, ale nie odnoszą mleka do mleczarni, nie kontraktują nasion, dzieci trzymają w domu, nie reagują na kpiny światlejszych sąsiadów, nie biorą przykładu z ich sposobu gospodarowania. Tacy stają się powoli narzędziem polityki kilku bogaczy i zarazem obiektem ich wyzysku. Lecz budzi się walka klasowa. Początkowa niechęć osadników do autochtonów zamienia się w nienawiść do chciwych szabrowników, samolubnych odludków, którzy zwężają i kasują wspólną drogę wśród pól, mimo że mają dużo własnego pola, leżącego odłogiem. Na wyrobienie młodzieży ma duży wpływ świetlica. Ponad 70 proc. ludności wsi należy do PZPR oraz ZMP. Zatem na przeobrażenie zupełne dawnej wsi góralskiej wpływają nowe narzędzia pracy, korzystniejsze warunki pracy na roli, możliwość zbytu produktów, bliskość miasta oraz kolei, sąsiedztwo zakładów przemysłowych, świetlica, partia.

Właściwym celem mego wyjazdu w teren było zebranie materiału do nowej powieści o wsi, która przezwyciężyła w sobie karłowaciznę życia i znalazła się w kręgu postępowych przemian psychicznych, gospodarczych, społeczno-kulturalnych. W toku tej pracy wypadnie mi kilkakrotnie jeszcze znaleźć się na terenie PGR-u Kujawy, czy w Dąbrowie Namysłowskiej oraz tartaku w sąsiednim Pokoju, aby poznać warunki życia tych samych ludzi w innym okresie roku.

Zygmunt Fijas

Żyję grochem i kapustą

Równe pięć lat temu pewien poeta, który już teraz pisze co innego, niż pisał dawniej, rzekł do mnie z przekąsem: „Ja tam o jedzeniu nie piszę, tak jak inni". Był to uszczypliwy przytyk do mych ówczesnych żartobliwych artykulików, w których nie taiłem, że ten poeta też ma żołądek.

Pisałem wtedy o grysiku, którego brakło, i wołowinie, którą można było otrzymać tylko pod Wieliczką, i tylko w handlu wężeikowym.

Trudno przez całe życie pisać o niebieskich migdałach, trzeba też pisać o wołowinie, gdy jej nie ma.

Kiedy zdecydowałem się na wyjazd do Tymbarku, a potem do Nowego Sącza, niektórzy koledzy nie umieli utaić swego śmiechu: że to niby wino, że moszcze, że groch, że kapusta, że ogórasy, że bób.

Ja tam nie uśmiechałem się, gdy niektórzy koledzy zdecydowali się wyjechać z poławiaczami śledzi. Byłbym się może uśmiechał, gdyby zechcieli wyjechać na połów pereł.

Czterema piątymi swych ciał, tkwimy w epoce, która ubiegła i uchodzi, jak powietrze z dętek: jesteśmy mieszczanami, panowie!

W czasie mego pobytu w terenie zdumiało mnie powiedzenie pewnego działacza - ogrodnika: „Powiedz mi pan, panie, dlaczego poeci pisali o „złocie", o „srebrze", o „róży", o „księżycu", o „klarnecie", o „flecie" a nikt nie napisał wiersza na cześć kapusty Langedijker, Amager, czy Sławy z Enkhuizen?".

Ważne pytanie. Dlaczego nie napisał? Bo to — jedzenie, bo „proza"! A tymczasem kapusta i ziemniaki, to połowa spożywanych przez Polaków warzyw.

W roku 1948 uprawiano w Polsce 134.000 ha warzyw wartości 40 miliardów złotych; mieliśmy 21 milionów drzew owocowych, dostarczających łącznie z jagodami leśnymi przeciętnie 381 ton, wartości 11 miliardów złotych. Wartość produktów ogrodniczych na skutek przeróbki, przechowania, sortowania podnosi się. Średnia roczna wartość produkcji warzyw, owoców w stanie surowym i towarów pokrewnych wynosiła prawie 75 miliardów złotych. Suma to olbrzymia.

Olbrzymia i nie olbrzymia. Okazuje się, że gdy w Związku Radzieckim, jak mówi statystyka, na jednego obywatela przypada 4 drzewka owocowe, w Czechosłowacji i w Danii — 3 w Szwecji — 2 (!), w Polsce na jeden przewód pokarmowy obywatela przypada — jedno drzewko (niecałe!). Okazuje się również, że gdy w Związku Radzieckim jeden ha sadu daje 100 do 150 kwintali, u nas produkcja sadu jest kilkakrotnie niższa.

Kto jadał owoce w Polsce sprzed roku 1939?

Według słów naczelnego dyrektora Centrali Ogrodniczej, z którego artykułu te cyfry pochodzą, Polska przed rokiem 1939 zjadała niewystarczającą ilość owoców; tylko pięć milionów obywateli lepiej sytuowanych jadło owoce; reszta jadła ziemniaki, kapustę, marchewkę, pietruszkę, cebulę. Produkcja warzyw i owoców była za niska.

Obecnie stan ten ulega zmianie. Centrala Ogrodnicza za pośrednictwem powiatowych delegatur organizuje skup owoców, które niestety na skutek złego rozmieszczenia przetwórni i przechowalni służyły w niektórych okolicach za karmę dla świń, rozbudowuje przechowalnie (w każdym mieście powiatowym po 200 ton, w wojewódzkim po 300 ton, nie licząc kilku przechowalni eksportowych o pojemności 10.000 ton), usprawnia transport, tabor, organizuje zwalczanie pasożytów, tworzy przy ośrodkach maszynowych brygady opryskiwaczy, kontraktuje warzywa i owoce, dąży do podniesienia produkcji warzyw o 30%, przetworów owocowych i warzywnych o 70%, win z 2 milionów litrów do 17 milionów.

Dewizą działalności pow. delegatur C.O. jest, by cena 1 kg. jabłek i w okręgach przemysłowych i w okręgach, gdzie powstają korki nadprodukcyjne, była przez cały rok równa bodaj cenie 1 kg. chleba.

I w tym właśnie powinni działaczom-ogrodnikom dopomóc artyści. Malarze, kompozytorzy, rzeźbiarze, śpiewacy, wirtuozi, poeci, produkcja ogrodniczo-warzywna czeka na wasze natchnienie. Nie istnieje proza. Istnieje ważność zagadnień. Chwytajcie w jedną rękę pióro, w drugą kielnię, gracę. Dopomóżcie w rozbudowie sadownictwa i warzywnictwa.

Antoni Olcha

Przez beskidzkie okno

Udział w akcji wyjazdowej pisarzy umożliwia mi bardziej systematyczne i szersze niż dotychczas studia nad przeobrażeniami życia w środowiskach wiejsko - małomiasteczkowych w Beskidzie i na Podgórzu. Wszechogarniająca fala przemian toczy się przecież przez tereny, które znam nie od dzisiaj z pracy społecznej, spółdzielczej, kulturalnej. Spotykam ludzi, których w ciągu minionych kilkunastu lat widywałem w najrozmaitszych sytuacjach. Wszystko, co dotychczas napisałem — to tylko kolejne etapy coraz bliższego, ale wciąż niepełnego poznawania żywych, codziennych spraw wsi; kolejne próby pisarskiego włączania się w złożony proces przemian; kolejne doświadczenia, które potwierdzają starą prawdę, że nigdy nie zna się danych spraw dość wszechstronnie, dość głęboko. Pojechałem w Jordanowszczyznę ponieważ z racji tych doświadczeń i prób pisania o współczesnych sprawach wsi tam właśnie najłatwiej spostrzegam wielorakość i bogactwo współczesnej tematyki. Patrząc przez rodzinne beskidzkie okno jaśniej widzę, jaśniej rozumiem życie innych odległych nawet terenów.

Jordanowszczyzna, to pierwszy etap moich badań literackich. Stąd wiodą ścieżki, którymi tutejsi małorolni wędrują do śląskich kopalń i do Nowej Huty pod Krakowem; stąd wiodą ścieżki młodej wsi pracującej do szkół średnich i wyższych. Poznawać życie współczesnej wsi, to nie znaczy siedzieć na jednym miejscu i zapisywać co się stało w świetlicy i spółdzielni, chociaż i to konieczne. W związku z moimi planami na przyszłość, w związku z powieścią którą piszę, zaciekawiają mnie wszystkie ważniejsze powiązania wsi z całym krajem, a są to dziś już tysięczne więzi.

Po wielkiej fali przesiedleńczej przyszła fala odpływu chłopskiej biedoty do przemysłu. Ojciec i syn zachowują się już jak starzy górnicy, lub hutnicy, do wsi zaglądają tylko na niedzielę, nie umieją już wyobrazić sobie swojej przyszłości inaczej jak tylko w łączności z przyszłością swojej kopalni lub huty, natomiast matka i córki żyją jeszcze wyłącznie dwumorgowymi kłopotami. W jednej rodzinie zderzają się coraz ostrzej dwa odmienne spojrzenia na świat i życie. W miasteczku, w ogniu walki klasowej przeobraża się życie rzemieślników. Spółdzielnia szewców jest ośrodkiem przemiany. Młody aktywista partyjny, który ma za sobą walkę w partyzantce i katownię gestapo, kieruje sprężyście tym ośrodkiem. Patrząc na niego myślę: oto prawdziwy bohater pozytywny — mocny, energiczny, prosty, wciąż głodny wiedzy, pracowity, poważny i ani trochę nie cierpiętnik. Ale nie jest to jedyny bohater tego typu. Jest ich w okolicy więcej. Są wśród nich starzy komuniści, ludzie, których życiorysy to gotowe szkice do powieści lub dłuższych opowiadań.

Nie miejsce tu na wyliczanie tematów, ani na określanie jednym zdaniem tego, co z trudem zarysować by można w reportażu. Pragnę tylko powiedzieć, że udział w akcji wyjazdowej dał mi dużo wartościowego materiału, z którego już teraz korzystam pisząc swoją nową książkę. Myślę, że na tej trzymiesięcznej akcji łączność pisarzy z życiem i pracą określonych ośrodków nie powinna się zakończyć. Trzeba znaleźć drogę do długofalowych powiązań pracy pisarzy z pracą robotników i chłopów budujących socjalizm.

Jan Koprowski

Najważniejszy jest człowiek

W ciągu marca, kwietnia i maja br. przebywałem w Państwowych Gospodarstwach Rolnych na terenie województwa wrocławskiego, głównie zaś w gospodarstwie rolniczo-hodowlanym w Mysłakowicach, na fermie nutrii w Janowicach Wielkich na fermie kur w Zachełmiu i na stacji zarybieniowo-doświadczalnej w Podgórzynie. Był to najpiękniejszy okres mojej pracy literackiej po wojnie. Zgromadziłem wiele cennego materiału, który najprawdopodobniej wyzyskam w powieści lub w utworze scenicznym.

Ludzie, których spotkałem, ich stosunek do pracy, entuzjazm, nieustanny wysiłek produkcyjny — oto sprawy, które mnie najbardziej zainteresowały. A ludzi spotykało się wielu i to wspaniałych. Ludzi, którzy z nędzy życia folwarcznego w Polsce sanacyjno-obszarniczej, przeszli do pracy w nowych, odmiennych do gruntu, warunkach powojennych.

Praca, będąca przed wojną przekleństwem, stała się dziś dla nich błogosławieństwem, żywiołem, najpiękniejszą potrzebą życia.

Może najlepiej ujął to Wodzisławski, hodowca świń w majątku Mysłakowice:

— Przed wojną to człowiek szukał roboty, a jak znalazł, to przeklinał, bo nie było z niej chleba. A dziś to robota sam szuka człowieka. I cieszy człowieka i raduje, bo jest z niej pożytek i korzyść. Mnie, widzicie, jak se wspomnę dawne czasy, to aż ciarki przechodzą ze zgrozy. Sto razy mi lepiej teraz, niż dawniej. A robotę swoją lubię. Dzień i noc bym chodził koło świnek. Cieszy mnie, gdy jedzą i rosną i nic im nie dolega. A jak się zdarzy, że która zasłabnie lub zachoruje, to taki jestem nieswój, że — mówię wam — o mało nie zginę z żalu i zgryzoty. Zupełnie, jakby to mnie samego albo moje dziecko dotknęło.

Oto, w czym tkwi istota naszych czasów, istota przemian polityczno-społecznych. Wytwarza się nowy stosunek do pracy, do zawodu. Ludzie, spotkani przeze mnie w PGR-ach, pracę swoją kochają.

Nie wszyscy jeszcze u nas to rozumieją, nie dla każdego to jest jasne, ale coraz mniej łazików i obijaczy. Ludziom rozwidnia się w głowach i wszystko idzie ku coraz lepszemu. Porządek z każdym dniem większy i dyscyplina pracy się podnosi. Nikt nie zostawi wozu na podwórzu byle jak i gdzie popadnie. Każda rzecz ma swoje przeznaczone miejsce. I nikt nie patrzy na innych i nie ogląda się na godzinę. Gdy trzeba, ludzie robią do późnej nocy, żeby tylko wykonąć to, co pilne i co czekać nie może.

Dlatego praca daje rezultaty. Dlatego rozwija się współzawodnictwo. Dlatego podnosi się stale ilość i jakość produkcji.

Pobyt w terenie umożliwił mi zapoznanie się z nowymi ludźmi, z ich myślami i potrzebami, z ludźmi, których wychował i wychowuje ustrój sprawiedliwości społecznej.

Stąd i książka, którą napiszę, będzie o nich: o ludziach. Ukażę w niej drogę awansu społecznego tych ludzi. Przedwojenny pastuch jest dziś buchalterem, fornal — kierownikiem majątku.

Oto fakty, atakujące pisarza swoją treścią i wymową.

A ileż w ludziach talentu, ile pomysłowości. Cały ich wysiłek skierowany jest na ulepszenie metod pracy i usprawnienie przebiegu produkcji.

Jan Piątek w Janowicach, Górnoślązak, konstruuje urządzenia wylęgowe do hodowli kur zarówno na fermie Samopomocy Chłopskiej, którą prowadzi, jak i dla Zachełmia. Są to, zdaniem fachowców, konstrukcje o dużej wartości odkrywczej, złożone zostały w Urzędzie Patentowym w Warszawie i należy oczekiwać, że wkrótce znajdą zapewne zastosowanie w całym kraju.

Praca — to jest ten główny czynnik, poruszający serca i umysły ludzkie.

Inżynier Leo potrafi nieraz nie jeść i nie spać, tak go absorbuje wychów karpia, lina i pstrąga. Stacja zarybieniowo-doświadczalna w Podgórzynie obejmuje 40 stawów o łącznym obszarze zalewu ok. 90 hektarów.

Ryby to dla niego sprawa życia. Nic poza nimi nie widzi. Bez tej pracy tutaj zmarniałby jak pies.

Największe jednak wrażenie zrobiła na mnie ferma nutrii w Janowicach Wielkich. Spośród majątków PGR-owskich, które widziałem, ten prowadzony jest najbardziej wzorowo. Zabudowania, urządzenia, inwentarz żywy i martwy — wszystko utrzymane doskonale. Czystość nienaganna. Kierownik fermy inżynier Konstanty Dębicki — to nie tylko wybitny specjalista od hodowli zwierząt futerkowych, właśnie nutrii, — to również dobry organizator i rozumny człowiek. W pracy jego widać ład i celowość, umie współpracować i współżyć z zespołem robotników, którzy rekrutują się głównie z młodzieży.

— Lubię młodzież — mówi Konstanty Dębicki — bo cechuje ją zapał i entuzjazm. Z nikim nie pracuje mi się tak dobrze, jak z nimi. My z tej fermy zrobimy majątek słynny nie tylko na Polskę, ale i świat cały. Nutrie — to przyszłość. W tej chwili mamy 1070 zwierzątek, pod koniec planu 6-letniego będziemy ich mieć na obszarze całego kraju ok. 110.000.

Przy tym wszystkim ludzie, o których mówię, nie zatracają poczucia łączności z życiem kraju i świata. Pracują społecznie, czytają, dokształcają się. Wielu z nich — to aktywni członkowie PZPR-u. Kontakty z nimi zadzierzgnięte będą mi wielką pomocą w twórczej pracy literackiej. Dlatego też akcję tę zamierzam kontynuować dalej.

Jestem przekonany, że tylko ścisła łączność z terenem, że tylko powiązanie się z tymi ogniwami ludzkich wysiłków, umożliwi mi napisanie prawdziwie realistycznego dzieła o tematyce współczesnej.

Jan Brzoza

Kopalnia „Anna" w Przowie

Celem mojej obserwacji na terenie kopalni było zaznajomienie się przede wszystkim z nowymi metodami i nowymi warunkami pracy, które to dwa czynniki decydują o nowym człowieku. Kopalnia „Anna" położona jest w północnej krawędzi osady górniczej Przów w powiecie Rybnickim. Przów jest wsią o typowych śląskich zabudowaniach parterowych z podwórkami od tyłu, wąskich krętych uliczkach. Jest tu kilka większych gmachów, jak np. dwupiętrowe bloki mieszkalne dla górników, dwie szkoły, kościół, kino i świetlica. Jest także zabytek w postaci stuletniej chatki krytej słomą. Do Przowa dostęp kolejowy jest utrudniony z powodu braku stacji osobowej, a ter kolejowy jest właściwie bocznicą dla transportu węgla. Dojeżdżają tu często autobusy z Rybnika i Rydułtowy. Przów jest ciekawą miejscowością ze względu na wiejski raczej charakter i prawie każdy górnik posiada jakiś skrawek pola, czy ogrodu, małe gospodarstwo hodowlane. Toteż górnicy z wyglądu i sposobu bycia przypominają raczej wieśniaków. Cechą charakterystyczną jest schludność w ubraniu zwłaszcza kobiet i dzieci. Maj był upalny i nie widziałem dzieci bosych.

Ponieważ klasę robotniczą znam i nie oderwałem się od niej, choćby z tego względu, że jestem byłym robotnikiem, pracującym niegdyś także i w kopalniach wosku i węgla a także z powodów rodzinnych, nie potrzebowałem specjalnie „wżywać się" w dobrze mi znany świat. Ograniczyłem się do częstych wyjazdów z Katowic po uzgodnieniu przedtem z dyrekcją, radą zakładową i Podst. Org. Part., następnych obiektów obserwacji. Nie musiałem także zdobywać zaufania, gdyż znam zwyczaje swojej klasy. Zarówno wymienione władze, jak i poszczególni górnicy przyjęli mnie życzliwie i dodano mi do towarzystwa kolegę po fachu miejscowego korespondenta „Trybuny Robotniczej" Bolesława Hibnera, który ułatwiał mi wszędzie dostęp, nie tylko na teren kopalni, ale do mieszkań prywatnych górników. Nocowałem w Domu Noclegowym kopalni, w którym mieszkali dojeżdżający z dalszych okolic górnicy, przeważnie młodzież. Śniadania, obiady i kolacje jadałem w miejscowej „Gospodzie spółdzielczej", gdzie zresztą była doskonała kawa, jakiej nie ma w Katowicach, czy Warszawie. Jeden z najważniejszych problemów, jaki zastałem, to chwilowy spadek produkcji i bitwa o jego podniesienie. Zdarza się to zresztą tylko na wiosnę i w jesieni, gdy roboty polne są bardzo pilne. Potem produkcja zostaje podwyższona z nawiązką wyrównując chwilowe niedociągnięcia. Innym lokalnym kłopotem jest brak odpowiednich mieszkań dla górników, gdyż część rodzin górniczych mieszka w prowizorycznych barakach. Górnicy dużo zarabiają i mogą sobie pozwolić na wybudowanie własnych domków (co zresztą jest marzeniem każdego górnika), niestety, jak dotychczas nie mogą otrzymać przydziałów na cegły, dachówki, drewna budowlanego, gdyż ktoś tam u góry robi nieustanne biurokratyczne trudności. Takie zajęcie się poza pracą w kopalni budową własnego domku dałoby górnikom tyle pasjonującego zaabsorbowania, że odciągnęłoby niektórych od zaglądania do kieliszka. Niemniej koła partyjne zapewniły mnie, że sprawa przydziału materiałów budowlanych jest na najlepszej drodze i wkrótce będzie pomyślnie załatwiona.

Nie zamierzam pisać reportażu, gdyż ta dziedzina twórczości nie odpowiada mojemu sposobowi pisania. Pragnąłbym napisać sztukę sceniczną. Napisałem przedtem duże opowiadanie pt. „Ręce i kamienie", którego bohaterką jest robotnica w sortowni węgla. Celem moich odwiedzin kopalni „Anna" było m. in. sprawdzenie na miejscu warunków pracy w sortowni i ewentualna korekta mojego opowiadania. Okazało się, że korekta nie była potrzebna i wszystko w opowiadaniu zgadza się co do joty z rzeczywistością. Zamierzam z tego opowiadania opracować scenariusz filmowy. Niezależnie od tych zamierzeń, przystępuję do napisania jednoaktówki dla świetlic, na zamówienie Zw. Zaw. Górników.

Jeżeli chodzi o zagadnienia kulturalne Przowa, to jest tam świetlica a właściwie Dom Kultury, który stoi na wysokim poziomie. Jest tu sala odczytowa z małą sceną, gustownie urządzona i ozdobiona pięknymi malowidłami ściennymi. Jest biblioteka, są pokoje gry na instrumentach, pokoje lekcyjne. Zespół instrumentalny dzieci górniczych w wieku 10 — 15 lat, składający się z trzydziestu osób urządza koncerty, których warto słuchać. Sekcja teatralna wsławiła się na całą Polskę w czasie konkursu, biorąc nagrodę w Warszawie za „Lillę Wenedę", której fragment wystawiła. Muszę zaznaczyć, że zespół wystawił w Przowie całą „Lillę Wenedę" bez najmniejszego skreślenia, wykonał własnymi siłami dekoracje scen, kostiumy budzące podziw stołecznego jury i publiczności. Harfy wykonane przez stolarnię kopalni były przedmiotem zachwytu zawodowych artystów. W imprezie tej brał udział dosłownie cały Przów i nie było domu, w którym by ktoś z rodziny nie uczestniczył w ten, czy inny sposób w przedstawieniu. Uczyli się ludzie na pamięć pięknego wiersza Słowackiego, malowali dekoracje, pracowali nad urządzeniem sceny, szyli kostiumy, studiowali charakteryzacje a wśród nich wybiła się 29-letnia dziewczyna z lampiarni Barbara Weiner w roli Róży Wenedy, wykazując olbrzymi talent.

Uświadomienie polityczne górników Przowa jest duże. Słuchałem rozmów górników na tematy aktualnej polityki w kraju i wydarzeń światowych. Były to rozmowy rzeczowe, trafnie naświetlające wydarzenia na świecie. Szczególnie pasjonowali się górnicy walką dokerów a zrzucenie transportu broni do morza wywołało dużą satysfakcję. Górnicy chwalą sobie obecny ustrój w Polsce i wspominają dawne złe czasy. Bumelanctwo prawie, że nie istnieje, roboty wykonane są solidnie. Twarze mężczyzn są pogodne, kobiety tyją, dzieci chodzą w sandałach i noszą w futerałach skrzypce i akordeony. W małym Przowie widać olbrzymie zmiany na lepsze.

Irena Przewłocka

Poznaję swoich bohaterów

Czym jest „akcja terenowa" dla tych, którzy biorą w niej udział? Dla niejednego z nas stała się ona „drożdżami", rozpulchniającymi możliwości twórcze.

Biorę udział w akcji terenowej literatów na odcinku morskim. Dziś, dzięki temu, stykam się bezpośrednio z człowiekiem, o którym chcę pisać; poznaję jego naturę, jego zamiłowania i dążenia, wysiłki twórcze i nurtujące go problemy. Wierzę, że teraz będzie mi znacznie łatwiej zdobyć się na to, by dać możliwie realną — prawdę o człowieku.

Niedawno próbowałam pisać o morzu, o ludziach morza, o pracy na morzu „na własną rękę". Wiem, ile musiałam pokonać trudności, ile włożyć żmudnej pracy, by chociaż w przybliżeniu dać niesfałszowany obraz rzeczywistości, by stworzyć problematykę, której trzon miał tkwić na płaszczyźnie realizmu.

Czy mi się to udało? Muszę przyznać, że stawiałam jedynie niepewne kroki, błądząc niejednokrotnie po omacku wśród zagadnień środowiska, o którym pisałam. „Łapanie za rękaw" przygodnie poznanych marynarzy, szperanie po pismach technicznych, chłonięcie opowiadań „ludzi morza" nie pozwoliło mi dokopać się do głównego nurtu ich życia, co w efekcie musiało dać prawdę b l a d ą a z nią i postaci, jak z papieroplastyki.

Dziś, znalazłam się tam, gdzie pulsuje tętno życia, które będzie tematem mej przyszłej pracy.

Nie muszę dziś patrzeć na „ludzi morza" przez „okna taverny". Nie muszę spoglądać na morze przez pryzmat egzotyki i jej tradycyj. Skończyło się na szczęście z „lizaniem cukru przez szybę". Jakże w tamtych warunkach, mogło powstać dzieło o pełnej prawdzie artystycznej, dalekie od mitu o tajemniczej niezwykłości „wilków morskich", którzy w dobie obecnej, stoją jak inni przy swych warsztatach pracy, biorąc najżywszy udział w procesie wielkich przemian społeczno-gospodarczych.

Dziś j e s t e m w środowisku, o którym pragnę pisać, widzę marynarzy jako zwyczajnych ludzi, pojmujących, jaka jest ich rola w procesie produkcji, rozumiejących swe zadania, które wybiegają w przyszłość.

Poznaję swoich bohaterów, o których mam pisać, ludzi, tworzących nową rzeczywistość; widzę swych trymerów i palaczy, pokładowców i motorzystów, którzy wkrótce zaludnią karty mej powieści. Nie potrzebuję ich szukać, „wymyślać", kształtować w wyobraźni, bo jestem wśród nich. Jestem wśród ludzi, którzy mi sami dają do ręki tworzywo, z jakiego powstają żywi bohaterowie, nie sztuczni, nie wyhodowani na pożywce tradycyjnych wyobrażeń lecz — prawdziwi.

Za kilka dni udaję się w pełnomorski rejs na jednym z przodujących statków naszej Marynarki Handlowej M/S „LEWANT". Będę przy pracy marynarza, ujarzmiającego żywioły, zobaczę go na kapryśnych wodach kilku mórz, stanę z nim na pokładzie i w maszynowni, w kabinie nawigacyjnej, na czujnej wachcie i w dygocącym tętnem wysiłku porcie.

Na zakończenie pragnę powtórzyć zdanie, które napisałam w wypowiedzi, przesłanej Związkowi Literatów: „To wszystko napawa mnie ufnością i jednocześnie nakłada na mnie obowiązek zmobilizowania swej woli twórczej tak, by książka, która powstanie, tętniła krwią ludzi żywych, by w postaciach, które stworzę, pulsowała energia, wyzwalana rękami przodowników pracy, palaczy i trymerów, by nurtowała ich ta sama wola, dzięki której ich bracia na lądzie, robotnicy rolni i murarze, hutnicy i górnicy wyprzedzają czas.

Aleksander Jackiewicz

List z fabryki penicyliny

Od trzech miesięcy zbieram materiał do książki w fabryce penicyliny i innych specyfików — w Tarchominie pod Warszawą. Wybrałem ten obiekt, ponieważ dużo słyszałem i czytałem w prasie codziennej o doskonałych rezultatach pracy załogi tej fabryki, która w ciągu pięciu lat nie tylko odbudowała z gruzów dawne zakłady Spiessa, znacznie je rozszerzając, ale potrafiła też w ciągu ubiegłego roku uruchomić nową wytwórnię, sławną dziś w całym kraju wytwórnię penicyliny. Zafascynował mnie wysiłek załogi, zainteresował mnie problem wzajemnej współpracy robotników, inżynierów i uczonych, chciałem zbadać jakie realne czynniki zdecydowały o sukcesie załogi, która przed pięciu laty w liczbie 6 (słownie sześciu) ludzi przystąpiła do odbudowy niemal kompletnie zniszczonego obiektu, jakie motory wewnętrzne wyzwoliły w tych ludziach nie spotykaną przed wojną dynamikę twórczą.

W ciągu ubiegłych miesięcy zapoznałem się z historią odbudowy i budowy tarchomińskiej wytwórni, historii bardzo prostej, a jakże porywającej. Zarówno dyrekcja jak i załoga często wyrażały zdziwienie widząc mój podziw dla ich dzieła, dla nich historia ubiegłych pięciu lat jest sprawą minioną, robotnicy, inżynierowie, magisterzy żyją dziś nowymi problemami, którym na imię: realizacja planu sześcioletniego. I chociaż są zadowoleni, że pragnę opisać dzieje ich pracy od r. 1945 po dzień dzisiejszy, to nieraz mi mówią: „Niechno pan przyjedzie tu za nowe pięć lat, będzie pan miał jeszcze ciekawsze sprawy do opisania". Ale niech czytelnik nie myśli, że zarówno załoga, jak i autor przyszłej książki w fabryce penicyliny widzą tylko sukcesy, osiągnięcia i zwycięstwa. Droga ludzi z Tarchomina była trudna, nie tylko wojenne wyniszczenie kraju je stwarzało, trudności rodziły się w tych właśnie ludziach, o których chcę pisać. Ile dramatycznych konfliktów musiało się rozegrać w realnych bohaterach mojej przyszłej książki w ciągu ubiegłych lat, ile słabości, dawnych nawyków, oportunizmu i bierności musieli sami w sobie pokonać... Trudno jest w krótkim liście wdawać się w szczegóły, trudno jest przekazać mnóstwo faktów i zagadnień, bardzo prawdziwych, bardzo głębokich, jakie wywożę z Tarchomina. Będę się starał przekazać możliwie najwierniej przyszłemu czytelnikowi powieści, do pisania której niebawem przystąpię. Pragnę przekazać mu mój podziw, sympatię, przyjaźń, jaką dziś mam dla twórców polskiej penicyliny, twórców nowego stylu pracy i życia.

Maria Żmigrodzka

MŁODA ORZESZKOWA*)

NIECO „CYTATOLOGII"

Pan Jan Brochwicz przywitał reformy uwłaszczeniowe nie tylko ze stoicyzmem, ale „tej części ich, która tyczyła się istotnie sprawiedliwych i humanitarnych pojęć, przyklasnął z całego serca". Był on bowiem człowiekiem nie tylko humanitarnym, ale i oczytanym w dziełach moralistów i socjologów, którzy pracę niewolną krytykowali nie tylko jako przeciwną naturze i godności człowieka, ale i jako niedołężną i nieproduktywną.

„Ale była to dopiero teoria. Po pierwszym akcie dramatu nastąpił drugi — teoria wstąpiła w dziedzinę praktyki". Toteż zadumał się gorzko dziedzic Brochowa, gdy w drugim akcie dramatu obejrzał ze wzgórza łany do niedawna jeszcze dworskie:

„Patrzył i pogrążony w zdumieniu myślał, że na gruntach jego sułtan turecki mógłby wygodnie grać w szachy z całym swoim Dywanem... Wodził wzrokiem dokoła po szlaczkach i arabeskach i myślał:

— to moje, a to nie moje, tamto het precz znowu moje a owo, tuż przy tamtym położone, znowu nie moje. Kiedy popędzę bydło na paszę, droga mu pójdzie przez zagony Jakuba, a kiedy Wasyl wypędzi swoje, pędzić go będzie właśnie gruntem, na którym zeszłej jesieni posiałem pszenicę... Pszenica, żyto, kto je zasieje?... oni zasiewać będą swoje szlaczki i arabeski a potem bawić się i spać... a moje? ha moje!... parobczane gospodarstwo... zapewne... ale trzeba woły kupić i sprząc, wozy, pługi sporządzić, parobków wyszukać... Najemnik będzie drogi... jeżeli jeszcze będzie, nakłady ogromne, a kapitałów nie ma... Od czego tu zacząć? Co najprzód czynić? Oj, bieda!

Zstąpił ze wzgórza i wolnym krokiem, zamyślony wielce, kroczył ku pięknemu swemu dworowi, tam kazał przywołać przed siebie rządcę Brochowa i rozmowę z nim rozpoczął tymi słowy:

— I jakże to będzie z nami, panie Sumski?

— Źle będzie, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział rządca — po czym umilkli obaj, zamyślili się, myśleli długo, ale nie wymyślili nic".

Tarapaty pana Brochwicza to jedno oblicze doświadczeń szlachty polskiej „w siódmym lat dziesiątku" XIX w. W powieściach Elizy Orzeszkowej odbiło się także i oblicze drugie:

„Marta urodziła się w dworku szlacheckim, niezbyt wspaniałym i bogatym, ale ozdobnym i wygodnym... Ojciec Marty w części nieopatrznością własną, a głównie wskutek zaszłych w kraju zmian ekonomicznych, ujrzał się zagrożonym utratą swej posiadłości. Los Marty zdawał się już wtedy zabezpieczony... Jan Świcki, zajmujący dość wysoką już posadę w jednym z biur rządowych w Warszawie, pokochał piękną, czarnooką pannę i wzbudził w niej wzajemne uczucia szacunku i miłości. Jan Świcki nie był dość opatrzny, by myśleć o przyszłości z najmniejszym choćby uszczerbkiem dla pory obecnej... Młody, silny, pracowity liczył na młodość swą, siłę, pracowitość, myśląc, że skarby te nie wyczerpią się nigdy. Wyczerpały się jednak zbyt prędko... Wraz ze śmiercią jego, skończyło się nie tylko szczęście domowe Marty, ale usunęła się spod stóp jej podstawa materialnego bytu".

Na czwartym piętrze stołecznej kamienicy gnieździ się rodzina państwa Wandalinowstwa. Żona daje lekcje muzyki, chorowita córka pracuje w fabryce tytoniu.

„Pan Wandalin był nawet kiedyś wcale majętnym obywatelem, posiadał bowiem we władaniu swym za św. p. pańszczyzny 100 chat, czyli mniej więcej około 600 dusz męskich, żeńskich nie licząc. Na osiem mniej więcej lat przed opisywaną epoką... państwo Wandalinowstwo przez długi rodziców stracili majątek. Ta sama wielka burza, po której przejściu Tutunfowicze, Kobyłkowscy, Kniksy itd. zdobyli sobie tak rozmaite, a pięknie brzmiące przydomki, uniosła na falach swych dom państwa Wandalinowstwa, a uniosła go dla nich bezpowrotnie..."

Po ulicach gubernialnego miasta błądzi Stefan Siedmiński, jeden z siedmiorga młodych dziedziców mikroskopijnej Wólki, skromnej resztki wielkopańskiej fortuny, zrujnowanej „burzą" i „długami rodziców" (to na benefis cenzury). Stefan szuka w nieznanym sobie świecie szansy ratunku dla rodziny, możliwości utrzymania, jakiej Wólka dać wszystkim nie mogła. „Syn szlachecki, a wasz brat — pisze do sióstr — jest teraz nurkiem zapuszczającym się w tonie społeczności ojczystej, trzeba mu przecież trochę czasu, wiele odwagi i rozwagi, aby mógł wydobyć się na powierzchnię z wiedzą o tym, co dzieje się w otchłaniach..."

O MIEJSCE W NOWYM ŚWIECIE

Janusowe bóstwo szlecheckich przeznaczeń jeden wyrok głosiło zarówno Brochwiczowi jak Marcie, Siecińskim i rodzinie pana Wandalina: „Przystosuj się, walcz o miejsce w świecie kapitalizmu, staraj się wszelkimi siłami wydobyć na powierzchnię — gdyż straszne są otchłanie nowego świata".

Nowy świat żądał stanowczej reedukacji synów szlacheckich. Był to warunek przetrwania okresu zamętu, warunek dorośnięcia do perspektyw, jakie przed kapitalistycznym obszarnictwem otwierał ustrój.

Eliza Orzeszkowa przeszła wszystkie stopnie wtajemniczenia swej klasy. Lata popowstaniowe w Miłkowszczyźnie — zrujnowanym majątku rodzinnym, okres starań o posadę telegrafistki i rozważań szans utrzymania z pracy pisarskiej, stawiały ją oko w oko z istotnymi problemami współczesności.

Zakres doświadczeń historycznych klasy i osobistych doświadczeń ideologa, charakter poznanych procesów społecznych i charakter problemów najistotniejszych dla przyszłości klasy — składają się na ten stop wiedzy o świecie, który sprawia, że naiwne i nieudolne artystycznie pierwsze powieści Orzeszkowej liczyć się muszą w historii literatury nie tylko jako pozycje bibliograficzne wczesnego, pobieżnie zbywanego etapu rozwoju wielkiej pisarki, ale mają samoistną wartość jako ciekawe i istotne przejawy ewolucji ideologii artystycznej pozytywizmu.

Powieści Orzeszkowej pod względem artystycznym nie wykraczają niczym poza przeciętność średniej produkcji powieściowej, moralizatorskich romansów salonowych. Wczesna twórczość nie zdobyła pisarce wielkiej popularności. Powoli dobijać się musiała uznania społecznego.

Atakowana ostro za wystąpienia publicystyczne przez „starych", od „młodych" przełykać musiała wiele gorzkich uwag pod adresem swej twórczości powieściowej, publikowanej zresztą bez wyjątku w „starej" prasie. Chmielowski, maiżdżąc nadworną dostawczynię powieści dla pism konserwy ziemiańskiej, ze złośliwą satysfakcją zestawiał publicystyczny program artystyczny Orzeszkowej z jej praktyką powieściową.

Dlaczego jednak buntownicza rozwódka, antyklerykalna libertynka, gardząca konwenansem salonowym emancypantka i demokratka, nie tylko debiutowała w „starej" prasie, co można by ostatecznie wytłumaczyć układem okoliczności życiowych, ale pozostała jej wierna przez wiele lat? Układ okoliczności życiowych, sympatie, antypatie czy fumy autorsko-redaktorskie — niewiele wyjaśniają. Opinie pewnych kół konserwy o Orzeszkowej żartobliwie formułuje sama pisarka, stwierdzając, że Ilnicka, klerykalna redaktorka „Bluszczu", uważała ją za „żużel„ ktory chce podpalić wszystkie nasze świątynie".

Czemu zatem żużel ten nie zaszkodził kartom „Tygodnika Ilustrowanego", „Kłosów", czy „Tygodnika Mód i Powieści"? Tolerowanie Orzeszkowej przez „starą" prasę, jak i jej „nieopatrzność" w polityce sojuszów redakcyjnych, mogłyby wyglądać na pierwszy rzut oka zagadkowo.

Odpowiedzi na to pytanie udzieli nam w dużej mierze bliższe sprecyzowanie pozycji klasowej pisarki i ustalenie adresu jej wczesnej twórczości. W jakiej funkcji występowała początkującą autorka w stosunku do własnej klasy? Nie będzie to metaforą złośliwą ani deprecjonującą, jeśli powiemy, że z szerokiego wachlarza możliwości stosunku między ideologiem a klasą Eliza Orzeszkowa przyjęła w najwcześniejszym stadium twórczości obowiązki guwernantki. Guwernantka nie jest w historii literatury zjawiskiem cenionym. Eliza Orzeszkowa podjęła się jednak swych obowiązków w szczęśliwym momencie. Edukacja ziemiaństwa, nauka manier przyjętych w wielkim świecie kapitalizmu była zjawiskiem postępowym, w edukacji zaś tej wraz z Orzeszkową współpracowała historia.

Orzeszkowa pisze dla klasy o klasie, jest chorążym burżuazyjno - obszarniczego sojuszu, współdziała w tworzeniu nowej moralności i nowej kultury. Problematyka i adres wyznaczyły też teren działalności.

Młoda Orzeszkowa musiała zatem gościć na łamach pism konserwatywnych, zwłaszcza, że najwcześniejsze jej utwory reprezentują typ moralisty-ki o tyle jeszcze abstrakcyjnej i o tyle jeszcze deklaratywnej, że łatwo ją było neutralizować jałową tradycyjną moralistyką romansową, w zasadzie wsteczną i wrogą nowemu światu, jaka kwitła na łamach tych tygodników. Wystąpienia Orzeszkowej, choć początkowo całkowicie zwekslowane na płaszczyznę moralistyki i krytyki obyczajowej były dynamitem przechowywanym na łamach „starej" prasy. Działalność Orzeszkowej na tym etapie znalazła się w nurcie postępu, który likwidował tak silne w dziedzinie kultury pozostałości systemu feudalnego walczył o człowieka kapitalizmu.

W PIERWSZYM DZIESIĘCIOLECIU...

Wczesny etap twórczości Orzeszkowej obejmuje pierwsze dziesięciolecie jej twórczości literackiej, lata 1866—1876. Powstało w tym czasie kilkanaście powieści, które łączy nie tylko chronologiczne sąsiedztwo i wspólna cecha mniejszej czy większej nieudolności artystycznej, sprawiającej, że ten etap twórczości Orzeszkowej należy wyraźnie odgraniczyć od okresu jej dojrzałości artystycznej, zapoczątkowanej „Meirem Ezofowiczem". Idzie o to, że właśnie w ramach wczesnego okresu zrealizowała się pedagogiczna funkcja Orzeszkowej jako „guwernantki klasy". Powieści te łączy wspólność problematyki i wspólny kierunek zasadniczej ewolucji ideowej i artystycznej. Dość znaczne różnice między początkowymi a końcowymi utworami owego dziesiąciolecia są skutkiem pogłębienia i poszerzenia zakresu obserwacji autorskiej, wykrystalizowania ideologicznego, wyrobienia techniki pisarskiej. Dlatego należy brać pod uwagę rozwój w ramach dziesięciolecia i, wprowadzając wewnętrzne cezury, podkreślić jednak zasadniczą jednorodność okresu.

Twórczość Orzeszkowej w pierwszej epoce zawiera się w całości w ramach problematyki moralistycznej, a tematem jej są też bez wyjątku zagadnienia wychowania. Jest to podskórny, mniej lub bardziej rozstrzygający, niemniej zawsze obecny, nurt jej książek. Są one beletrystycznymi traktatami o wadach wychowania i o potrzebach klasowej edukacji.

Ewolucja w ramach tego podstawowego schematu ideologicznego polegała na stopniowym nasycaniu planu moralistycznego coraz wyraźniejszą i konkretniejszą treścią społeczną. Polegała na przełamywaniu konwencjonalnych, romansowych schematów sytuacyjnych, na wzbogacaniu nurtu powieści historycznymi realiami. Jest to jednocześnie droga doskonalenia artystycznego, wyraźnie dostrzegalnego rozwoju talentu.

Pierwsze dziesięciolecie twórczości Orzeszkowej rozpada się z tego punktu widzenia na dwa podokresy; cezurę stanowi tu najwcześniejsza i szeroko znana powieść Orzeszkowej „Marta" (1872). Przeprowadzając najogólniejszą typologię wczesnej twórczości Orzeszkowej, stwierdzamy, że do roku 1872 można wyróżnić w jednolitym schemacie ideologicznym dwie modyfikacje: — powieści, ilustrujące abstrakcyjną tezę moralistyczną („W klatce", „Cnotliwi", „Na dnie sumienia") oraz powieści, w których — w różnym układzie—występują bardziej skonkretyzowane historycznie problemymy: nowego typu rodziny i

Eliza Orzeszkowa w r. 1880

funkcji kobiety w rodzinie oraz pracy kobiet (między innymi: „Rozstajne drogi", „Ostatnia miłość", „Początek powieści", „Pamiętnik Wacławy", „Pan Graba", „Na prowincji"). Obydwie te grupy, bynajmniej nie zwarte chronologicznie, pokrewne niejednokrotnie tematycznie, różnią się właśnie stopniem nasycenia historycznymi realiami. W pierwszej grupie historyzm argumentacji jest wyraźnie pozorny. Druga grupa już pewniejszą stopą wędruje po kraju, choć autorka niejednokrotnie cofa chronologię swoich współczesnych powieści w epokę przeduwłaszczeniową, nie zawsze rozumiejąc fałsz takiego ahistorycznego założenia.

Momentem jednak najbardziej uderzającym jest tu rola kwestii kobiecej. . Walkę o człowieka kapitalizmu przeprowadziła Orzeszkowa początkowo na tym wąskim stosunkowo odcinku. Kwestia, która ukształtowała całkowicie większość, a nasyciła w mniejszym lub większym stopniu wszystkie jej powieści pierwszego okresu, zawdzięcza swą wagę splotowi różnorodnych warunków. Wielką rolę odegrał tu fakt, że dotychczas wszystkie pisarki polskie tradycyjnie skazane były na „kobiecość". Powolne niezmiernie i utrudnione dzieje usamodzielniania się pisarek sprawiały że rzadko były one w stanie wyjść poza sferę spraw kobiecych. Moralistyka na użytek panien na wydaniu oraz młodych matek i gospodyń jest często racją umożliwiającą istnienie literatki, niejednokrotnie kryptonimem jej ambitniejszych zamierzeń. Tak niewątpliwie ma się rzecz i z Orzeszkową, choć bynajmniej nie wywiesza ona szyldu „autorki dla kobiet". Dalej istotniejszą zapewne rolę odgrywa tu fakt, że Orzeszkowa zaczyna pisać w okresie narastania dyskusji o emancypacji kobiet w stopniu dotychczas niespotykanym. Życie wyprzedziło mniej lub więcej akademickie dyskusje przeduwłaszczeniowe i dostarczyło zwolennikom emancypacji tysiąca faktów dokonanych jako niezbitych argumentów. Zagadnienie emancypacji przerastało w tych czasach ramy niewątpliwie doniosłej sprawy pracy i praw kobiety. Było znakiem szerszym — oznaczało negację lub aprobatę historycznego przewrotu. Tę samą funkcję gra ono u Orzeszkowej. Dominacja kwestii kobiecej u Orzeszkowej mimo swego podskórnego charakteru ideologicznego, ma jednak cechy pewnego zwężenia pola obserwacji. Tak jest w istocie. Partykularz grodzieński, jak również doświadczenia życiowe pisarki, nie dawały jej możliwości szerokiego ujęcia całokształtu problemów nasuwanych przez nowe warunki. Trzeba jednak pamiętać, że w ramach klas posiadających kobiety płaciły najbardziej słony rachunek za wiekowe grzechy feudalizmu. Zbawienna rada „przystosuj się" była też najtrudniejsza do wykonania w ich sytuacji

Orzeszkowa we wczesnym okresie twórczości podjęła walkę z tym, co w życiu rodziny, w życiu kobiety, pozostało z kultury feudalizmu. Walka z małżeństwem feudalnym, gloryfikacja nowego typu rodziny, nowych stosunków małżeńskich przybiera zresztą typowy charakter. Szereg powieści Elizy Orzeszkowej ukazuje we wszystkich możliwych wersjach rozkład rodziny opartej na moralnych i obyczajowych normach feudalizmu. Małżeństwa prestiżowe, bogaty ożenek jako jedyne wyjście dla arystokratycznego utracjusza, handel stosunkami towarzyskimi, małżeństwa graniczących ze sobą folwarków, fetyszyzm pozycji towarzyskiej — cały ten bagaż obyczajowości feudalizmu niszczy i deprawuje życie człowieka. Cóż można przeciwstawić temu po stronie burżuazji?

Stanowisko Orzeszkowej, wykazującej niewolnictwo i poniżenie kobiety w ramach obyczajowości feudalnej, a wysuwającej ideał wolnej rodziny, gwarantującej swobodny i pełny rozwój osobowości wszystkich jej członków, odpowiada historycznie stanowisku burżuazji, która zrywając więzy systemu feudalnego podjęła też surową krytykę feudalnego niewolnictwa rodzinnego. „Wolność" małżeństwa kapitalistycznego była jednym ze złudzeń ideologów klasy. Engels wykazał, że burżuazyjne „prawo człowieka" — prawo do małżeństwa z miłości różniło się od innych praw tym, że burżuazja musiała je — wbrew swej normalnej praktyce — pozostawić w pełni klasom uciskanym.

„Burżuazja zdarła ze stosunków rodzinnych ich naiwnie sentymentalną zasłonę i sprowadziła je do nagiego stosunku pieniężnego" — mówi „Manifest Komlnistyczny". Dziur w „naiwnie sentymentalnej zasłonie" nie mogła dostrzec Orzeszkowa, ale stosunek pieniężny dostrzegła wcale dobrze, choć ujawnił się on w jej twórczości w niezwykle wzniosłych maskach. Zaobserwujemy to u schyłku dziesięciolecia w ciekawej powieści „Maria". Ale i teraz idealne, „szalone" małżeństwa zamożnych młodych ludzi z guwernantkami okazują się dobrym interesem. Orzeszkowa wierzy w moralną wartość posagu cnoty i pracy. W jej idealnej rodzinie majętność, będąca podstawą bytu rodziny, pozornie nie gra roli w stosunkach małżeńskich. Bowiem wspólna praca małżonków gruntuje pomyślność rodziny, stanowi jedną z najistotniejszych jej spójni. Odłóżmy i tę sprawę do omówienia „Marii".

Przyjrzyjmy się drugiemu elementowi kwestii kobiecej, jakim jest w tym czasie prawo do nauki i pracy. Ten problem o dużej doniosłości społecznej został jednak w najwcześniejszych powieściach Orzeszkowej ukazany nie w tych wymiarach, w jakich ukształtował „Martę". Praca kobiet w „Pamiętniku Wacławy" czy „Rozstajnych drogach" to jeszcze nie problem ekonomiczno - społeczny, a w ogromnej mierze moralny. To środek duchowego doskonalenia się kobiety, niezawodna terapia na cierpienia sercowe, i, co najważniejsze, idealne przygotowanie do zawodu żony i gospodyni, nagradzane też stosownie do tego odpowiednio świetną „partią".

Kwestia pracy kobiet w ustroju kapitalistycznym w całej powadze tego problemu zobrazowana została dopiero w „Marcie". Dla dzisiejszego odbiorcy literatury, czytelna twórczość Orzeszkowej zaczyna się od „Marty", książki, która rozgłosiła imię Orzeszkowej wśród szerokich rzesz kobiecych także i poza granicami kraju. Nawet wśród pierwszoplanowych arcydzieł literatury światowej niewiele zapewne książek może się poszczycić tak szerokim zasięgiem skutecznego oddziaływania praktycznego. Losy Marty straciły dziś już nie tylko aktualność, ale i reprezentatywność społeczną. Powieść ta jednak jeszcze dziś da się czytać i może być czytana. Marta swym losem kobiety pozbawionej pracy podważa bowiem wiarę w perspektywy wyjścia proponowane przez kapitalistyczne miasto, przez nowe warunki życia. Losy Marty osuwającej się na dno społeczne z pozycji średniozamożnej mieszczki, ukazują mielizny, kryjące się pod światem mieszczańskiej zasobności. Trwałość drobnomieszczańskiej pozycji społecznej okazuje się złudą.

Wędrówka Marty ku nizinom, atakowana niejednokrotnie ze względów artystycznych jako zbyt rozwlekły łańcuch nieszczęść, rozwadniający dramatycze napięcie, staje się znakomitym punktem społecznej obserwacji. Wachlarz zawodów ukazany został po raz pierwszy u Orzeszkowej z pozycji wykolejeńca, głodnego, patrzącego ku sytym z zazdrością i nienawiścią. Autorka z dużą odwagą ukazuje, w jaki sposób wobec nędzy pryskają kolejno konwenanse Marty, aż do przewartościowania burżuazyjnego pojęcia nietykalnej cudzej własności, do przeświadczenia, że ma prawo żądać możliwości egzystencji. Oskarżenie pada w powieści przeciw zastarzałym przesądom, reliktom hamującym rozwój nowych instytucji społecznych i nowych norm obyczajowych; ale owo spojrzenie rzucone od dołu na kupca i dziennikarza, złotnika i księgarza odsłania prawa dżungli, panujące w nowym świecie, odsłania napięcie walki konkurencyjnej, w pełni uwydatnia burżuzyjną zasadę odpłatności wszystkich usług i świadczeń.

„LALKA" ELIZY ORZESZKOWEJ

„Marta" stanowi w ramach wczesnego okresu twórczości Orzeszkowej cezurę o ogromnej doniosłości. Dwa, wskazane na początku, komponenty sytuacji społecznej ziemiaństwa po uwłaszczeniu i doświadczeń pisarki nie w równomierny sposób ukształtowały ówczesny etap tworczosci. Abstrakcyjna moralistyka dominuje w przybliżeniu do roku 1872. Rok „Marty" jest rokiem, który podsumowuje doświadczenia pierwszego okresu twórczości Orzeszkowej i jednocześnie wprowadza momenty nowe.

W kilku powieściach, następujących po niej, najważniejszych dla okresu 1872—76, takich, jak „Eli Makower", „Pompalińscy", „Rodzina Brochwiczów", „Maria", krytyka antyfeudalna i antyklerykalna sformułowana zostaje z niebywałą dotychczas ostrością i pasją, jednocześnie zaś zagadnienie folwarku szlacheckiego występuje jako problem wielkiej wagi dla układu stosunków społecznych. Zagadnienie to, wraz z programem utrzymania ziemi w polskich rękach, pojawia się nie w tle powieści w cudzysłowie moralistyki, lecz jako centralny problem ideologiczny książki. Orzeszkowa funkcje ideologa klasy obejmuje z całą świadomością. Opisywane przez nią rzeczy i sprawy zyskują tu dopiero pełną reprezentatywność zjawisk typowych, jednocześnie rozstrzygających doniosły, centralny dla jej ówczesnej pozycji, problem społeczny.

Problem ten formułowany jest wprost w języku ideologii politycznej. Powieści owe mają uderzająco konkretny charakter. Nasycone są nie tylko historycznymi realiami współczesności, ale wyczuć w nich można żywy, polemiczny ton, zbliżony do zagadnień ówczesnej publicystyki społecznej, która od pseudonimu dyskusji o charakterze sztuki przeszła do języka politycznych programów i haseł.

Dotychczasowa twórczość Orzeszkowej operowała zasadniczo dość jednostajnym chwytem. Demonstrując skutki niewłaściwego wychowania i nie umiejąc zagadnienia tego przedstawić zarówno z całym bogactwem historycznego kontekstu, jak i z należytą siłą zjawiska typowego, maskowała schematyzm i papierowość moralnego przykładu jego melodramatyczną jaskrawością. Uderzającym przykładem tej techniki może tu być zarówno demoniczna piękność — „kameleon" z powieści „W klatce", jak równie demoniczny i operetkowy szuler i deprawator — pan Graba. Psychologia i logika romansu sensacyjnego jest tutaj prostym skutkiem ideologicznej niedojrzałości.

Obecnie Orzeszkowa zrywa z patologią, nie szuka efektownych dramatów, czarno-biały schemat produktów dobrego i złego wychowania ustępuje przed galerią „ludzi porządnych", typowych przedstawicieli określonego rodzaju mentalności, właściwego przeciętnemu człowiekowi klasy. Dopiero w „Elim Makowerze" i „Rodzinie Brochwiczów" guwernerka Orzeszkowej zrywa całkowicie z moralistyczną partyzantką i z pełnią świadomości obiekt swych pedagogicznych zabiegów dostrzega w klasie. Orzeszkowa bierze na warsztat sytuacje typowe, wskazuje wyjścia mające charakter recepty społecznej. Nie darmo wszystkie cytowane na wstępie artykułu fragmenty, stanowiące panoramę losów klasy, pochodzą bez wyjątku z powieści tego okresu. Te cztery powieści trzeba rozpatrywać w ścisłym związku i wzajemnej zależności, aby zrozumieć charakter „kierunkowego odbicia rzeczywistości", jakie daje ten etap twórczości Orzeszkowej.

Orzeszkowa nie stworzyła nigdy dzieła o zakroju „Lalki" Prusa, które stanowiłoby „summę polskiego kapitalizmu". Rozstrzygnął tu nie tylko charakter talentu, ale i ta odległość, jaka dzieliła reprezentowane przez Prusa pozycje pozytywizmu warszawskiego od „pozytywizmu grodzieńskiego". Istniały różnice wielowartościowe. Bo daleko jest nie tylko z Warszawy do Grodna, gdzie nie można zakładać spółek do handlu ze Wschodem ani zawierać umów co do kupna armat i okrętów. Między rokiem 1874/6 a latami „Lalki" (1887/9) jest także kilkanaście lat różnicy — wielkiej różnicy historycznej. I daleko jest od powieści, która, opłakując stracone złudzenia mieszczaństwa, formułowała gorzkie oskarżenie pod adresem polskiego feudalizmu do cyklu powieści, które ukazywały, jak obszarnik może i powinien urządzić się w świecie kapitalizmu, by to wyszło na dobre i jemu, i postępowi.

Ten cykl powieści nie tylko postawił jasno zafałszowaną przez Prusa sprawę sojuszu burżuazyjno-obszarniczego, ale dał entuzjastyczny wyraz wierze w przyszłość i wartość tego sojuszu. Niemniej cykl powieści Orzeszkowej z lat 1872/6 przez zbieżności tematyczne nasuwa możliwości zestawienia z „Lalką". Analogie tematyczne nie są dla charakterystyki ideologii artystycznej pozytywizmu rzeczą bez znaczenia. Życie nasuwało problematykę i wskazywało drogi rozwiązania. I zbieżności, i różnice mają znaczenie historycznego dokumentu.

W pierwszym rzędzie — punkt wyjścia. „Lalka" jest powieścią o mieszczaństwie i o zgubnych dla niego kontaktach z arystokracją ziemiańską. Antyfeudalne ostrze powieści uderza nie tylko w obyczajowość klasy, ale stawia pod znakiem zapytania wartość jej funkcji społecznych w nowym układzie. Z pełnej niechęci i surowej krytyki powieści Prusa nie da się, poza Prezesową, wyłowić żadnego pozytywu. Powieści Orzeszkowej to powieści o ziemiaństwie i uzdrawiających dla niego skutkach terminowania w szkole mieszczaństwa.

Procesy społeczne, jakie w najogólniejszych zarysach uchwyciły dzieła Orzeszkowej i Prusa, to procesy degradacji społecznej ziemiaństwa i tworzenie się mieszczaństwa polskiego.

Prus ukazał rozwój i działalność polskiego kapitału finansowego, Orzeszkowa — proces charakterystyczny dla prowincji — z jednej strony zachwianie się folwarku obszarniczego i powolne wyłanianie się z powodzi klęsk i przeciwności kapitalistycznego obszarnictwa („Eli Makower"), z drugiej strony — deklasację ziemiaństwa i szybki wzrost polskiego drobnomieszczaństwa. Pierwszy z tych procesów — powolną stabilizację sytuacji klasy sygnalizuje Orzeszkowa ostrożnie, a jego kontekst powieściowy zakrawa na utopię. Mieczysław Orchowski ratuje swój folwark tuż przed katastrofą, wskutek pozyskania żydowskiego kupca, w którego rękach spoczywa jego los. Fantastyczne plany przymierza obszarnika z faktorem, program zastąpienia łańcucha drobnych pośredników-pijawek poważną firmą handlową i powiązania jej z folwarkiem więzami wspólnych interesów oraz inwestycją kapitałów żydowskich w rolnictwie — wyraźnie wskazuje jak mgliste zarysy przybierała w oczach Orzeszkowej zapowiedź stabilizacji.

W innym natomiast tonie zobrazowała Orzeszkowa problem „Lalki" — degradację społeczną ziemianina i awans drobnomieszczanina. Koleje życiowe Stefana Siecińskiego, syna zrujnowanej rodziny ziemiańskiej, niedoszłego uczonego — a w końcu właściciela maleńkiego sklepu spożywczego w Grodnie, to specyficzna wersja „kariery kupca" — nie jest ona ośmieszająca — nie mamy tu szczytów kariery kupca-finansisty; po kilku latach Stefan widzi jedynie możność spłacenia długów i otworzenia szwalni dla siostry. Stefan wycofuje się sam z domów arystokratycznych, gdzie udzielał lekcji angielskiego. Lęka się oczu swej pięknej uczennicy, a nie bierze pod uwagę dostaw dla wojny bułgarskiej, jako pierwszego stopnia wielkiej kariery.

Skok jaki uczynił Wokulski — „z piwnicy Hopfera do buduaru hrabiny" przytłacza skromny dorobek Stefana z posłania za warsztatem szewca do własnego domku na przedmieściu, rysującego się jako ponętna perspektywa przyszłości Siecińskich. Kupiec kolonialny nie może stanowić „partii" dla pięknej Tośki, odgrywającej w „Rodzinie Brochwiczów" rolę panny Łęckiej. Mimo miłości do Stefana ucieka ona też przed widowiskiem transportu śledzi w jego sklepie. A jednak mimo klęsk sercowych rodzina Siecińskich triumfuje — do niej należy przyszłość; młodsze rodzeństwo, które rośnie w cieniu lady kolonialnej ma bardziej ugruntowaną pozycję społeczną niż młode pokolenie lekkomyślnych Brochwiczów. Lęk przed surową edukacją mieszczańskiego życia wyrywa spod nóg dzieci szlacheckich ostatnią deskę ratunku.

Istnieje jednak książka Orzeszkowej, w której kupiec zdobywa rękę arystokratki, a jednak nie ponosi klęski uczuciowej, w której „dom" jego uznany jest za cenną, wymagającą ochrony wartość społeczną. Jest nią „Maria".

Żaden z wybitnych pisarzy pozytywizmu nie wyciągnął tak daleko idących konsekwencji z haseł sojuszu burżuazyjno - obszarniczego. W powieści tej zrealizowany został ideał rodziny mieszczańskiej, której rzekome wartości przeciwstawiała pisarka rozkładowi szlacheckiego życia rodzinnego.

„Dom" Iwickich wystylizowany został na modłę nieco purytańską; stosunki między Iwickimi a pracownikami firmy reguluje patriarchalizm — „opieka" i chęć moralnego oddziaływania. Pisarka sięga tu do dawno minionych tradycji heroicznego okresu mieszczaństwa gdyż, jak sądzi , Maria „tylko na tej drodze dojść można do rozwiązania wielkiej i groźnej kwestii pracy i kapitału".

Nic dziwnego, że „domu" takiego nie może zachwiać tchnienie „burzliwej" namiętności, któremu tylekroć w powieściach Orzeszkowej ulegały dwory szlacheckie. Iwicki, jak przystało na wzorowego mieszczanina ceni tylko wolną wolę w tak ważnym kontrakcie, jak małżeństwo, dlatego

dokończenie na str. 6

Władysław Ozga

Przebudowa podstawowego szkolnictwa na wsi

Na progu planu 6-letniego stanęliśmy w obliczu ważnego i trudnego zadania *przebudowy* szkolnictwa wiejskiego. Problem ten nie mógł być rozwiązany przez Polskę obszarniczo - kapitalistyczną, skoro polityka oświatowa rządów przedwrześniowych była z natury rzeczy reakcyjna, antyludowa i zmierzała świadomie do trzymania mas chłopskich w pętach ciemnoty i zacofania.

W ogóle zagadnienie szkolnictwa wiejskiego nie może być rozwiązane w państwach kapitalistycznych, gdyż przeciwieństwa między miastem i wsią tak w dziedzinie ekonomicznej jak i kulturalnej są nieodłącznie związane właśnie z ustrojem kapitalistycznym.

Dopiero socjalizm stawia problem wsi, a więc i szkolnictwa wiejskiego na właściwej platformie ekonomicznej oraz ideologiczno-politycznej. Podstawowym bowiem założeniem ustroju socjalistycznego jest zniesienie dysproporcji między wsią a miastem i budowa jednorodnego społeczeństwa pod względem klasowym i kulturalnym, przy równoczesnym olbrzymim podniesieniu poziomu jego sił wytwórczych.

Spółdzielczość w Polsce Ludowej otwiera drogę socjalistycznego rozwoju wsi. Dobrowolne przechodzenie gospodarki drobnotowarowej w rolnictwie na tory socjalistyczne pociąga za sobą konieczność podniesienia poziomu kulturalnego i świadomości społecznej mało- i średniorolnych chłopów. Prowadzi to w konsekwencji do takiej rekonstrukcji szkoły wiejskiej, któraby zapewniła możliwie najwyższy poziom wykształcenia w zakresie programu pełnej szkoły podstawowej.

Wykonanie planu 6-letniego wymaga olbrzymiego zwiększenia produkcji materialnej we wszystkich dziedzinach pracy produkcyjnej. Rozwój produkcji pociągnie za sobą konieczność zwiększenia liczby zatrudnionych w przemyśle oraz znacznego podniesienia wydajności pracy.

Aby wykonać te zadania, trzeba zapewnić planowe przygotowanie nowych kadr pracowniczych do potężnie rozwijających się wszystkich gałęzi gospodarki narodowej.

Ustalone zostało, że w okresie planu 6-letniego szkolnictwo zawodowe średnie i wyższe łącznie z kursami zawodowymi będzie musiało przeszkolić ponad 2 miliony ludzi. Szkolnictwo zawodowe średnie opiera się na programowej podbudowie szkoły podstawowej. Zapotrzebowanie na absolwentów szkół podstawowych z ukończoną klasą 7-mą jest bardzo duże. Szkoły średnie zawodowe i ogólnokształcące wchłaniać będą w okresie planu 6-letniego rocznie około 267..000 absolwentów z klasy 7-mej szkoły podstawowej. W roku 1949 szkoły podstawowe wypuściły tylko 217.800 absolwentów. Z liczby tej na szkoły w mieście przypadało 95.800 absolwentów, na szkoły na wsi 122.000 absolwentów.

Możliwość podniesienia liczby absolwentów w szkołach miejskich wprawdzie istnieje (przez podniesienie wyników pracy szkolnej), ale jest ograniczona. Podstawą rekrutacyjną kandydatów do szkół średnich, musi być zatem w dużym stopniu szkoła wiejska.

Trzeba jednak wyjaśnić, że z wielu szkół wiejskich o małej liczbie nauczycieli (t.zw. szkół niżej zorganizowanych), aczkolwiek posiadały one klasę 7-mą, wychodziła młodzież o niskim poziomie wiedzy. Bardzo często absolwenci ci nie byli należycie przygotowani do pobierania nauki w szkołach średnich zawodowych i ogólnokształcących. Było to wynikiem tego, że np.. w szkole o 3 nauczycielach tygodniowa liczba nauki takich przedmiotów jak język polski czy matematyka była o połowę niższa niż w szkole o 7 nauczycielach.

Stan ten zmusza nas do rekonstrukcji szkoły podstawowej, do podniesienia poziomu szkoły wiejskiej o mniejszej liczbie nauczycieli poprzez dodanie jej dodatkowych etatów nauczycielskich. Ustalona już nowa struktura organizacyjna szkoły podstawowej przewiduje następującą ilość nauczycieli i klas w zależności od ilości dzieci:

Przewidywana ilość nauczycieli i klas w stosunku do ilości dzieci.

Ilość dzieci	Ilość nauczycieli	Ilość klas
40	1	4
41— 60	2	5
61— 80	3	6
81—150	4	7
151—200	5	7
201—250	6	7
251—300	7	7

Nowa struktura organizacyjna szkoły podstawowej wprowadzana będzie stopniowo przez Ministerstwo Oświaty, poczynając od roku 1951.

W porównaniu ze stanem dotychczasowym na wsi, gdzie szkoła o 81 dzieciach posiada — wprawdzie rzadko — tylko 1 nauczyciela, ale z reguły nie więcej jak 2 nauczycieli, nowa struktura organizacyjna szkoły podstawowej będzie wielkim krokiem naprzód.

Budowa ustroju socjalistycznego i związany z nią rozwój sił wytwórczych, wzrost produkcji materialnej, pociągają za sobą konsekwentnie jakościowy wzrost w dziedzinie nadbudowy a w dziedzinie oświaty i kultury w szczególności.

O rozmiarach zamierzonej reformy przekona nas szczegółowe rozpatrzenie problemu szkoły wiejskiej w Polsce w okresie odbudowy szkolnictwa podstawowego po ostatniej wojnie w porównaniu ze stanem, jaki mieliśmy w tej dziedzinie w Polsce kapitalistycznej.

Przed wojną olbrzymia masa dzieci wiejskich pozbawiona była możliwości uczęszczania do szkoły siedmioklasowej. Typową szkołą dla wsi była t.zw. szkoła pierwszego stopnia (o 1 lub 2 nauczycielach), realizująca program zaledwie 4 klas. Do szkół pierwszego stopnia uczęszczała zasadniczo masa dzieci chłopskich i to w pierwszym rzędzie dzieci średnio i drobnorolnych chłopów. W roku 1937-38 w szkołach z najwyższą klasą czwartą było 1.640.900 dzieci, co stanowiło ponad 46 proc. ogółu dzieci w wieku szkolnym na wsi.

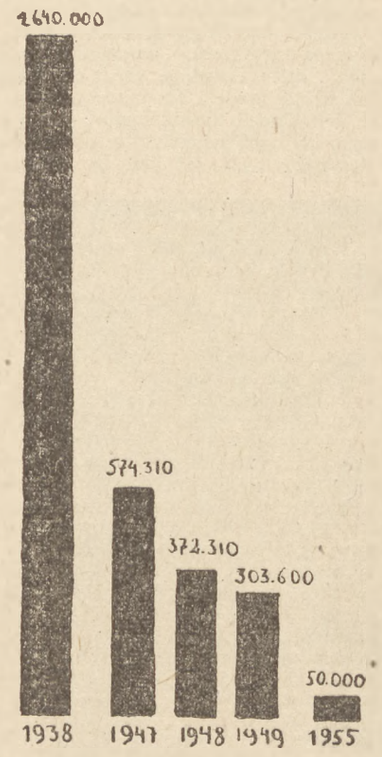

Tablica I. Liczba dzieci uczęszczających do szkół podstawowych z najwyższą klasą czwartą.

W Polsce Ludowej dokonaliśmy na tym odcinku prawdziwie rewolucyjnego przewrotu. Oto w wyniku konsekwentnej polityki, zmierzającej do podniesienia kulturalnego wsi, w pierwszym roku planu 3-letniego (rok szkolny 1947-48) mieliśmy w szkołach nie posiadających wyższych klas niż czwarta już tylko 574.310 dzieci, a w bieżącym roku szkolnym mamy w szkołach tego typu 303.600 dzieci.

W wyniku nowej struktury organizacyjnej szkolnictwa podstawowego i planowej przebudowy sieci szkolnej na wsi w okresie planu 6-letniego, nastąpi niemal całkowita likwidacja szkół najniżej zorganizowanych. W roku 1955 będzie uczęszczało do szkół z najwyższą klasą czwartą nie więcej jak 50.000 dzieci. Problem ten ilustruje tablica 1. .

Równocześnie z likwidacją szkół małowartościowych, szkół z najwyższą klasą czwartą, postępuje w Polsce Ludowej proces ilościowej rozbudowy szkół najwyżej zorganizowanych tj. szkół siedmioklasowych. Przed wojną jedna siedmioklasowa szkoła przypadała na siedemnaście gromad wiejskich, dziś co siódma gromada posiada szkołę realizującą program 7 klas. W roku 1937-38 na 25.070 szkół na wsi zaledwie 2353 szkoły realizowały program 7 klas. Do szkół pełnych uczęszczało w roku 1938 tylko 27,2 proc. ogółu uczniów szkół wiejskich. W bieżącym roku szkolnym uczęszcza na wsi do szkół z najwyższą *klasą siódmą 65,2 proc.* ogółu uczniów szkół wiejskich. Zagadnienie to ilustruje tablica 2 i 3.

Rekonstrukcja szkoły wiejskiej pod tym względem organizacyjnym w myśl zasad wyżej nakreślonych tworzy warunki, umożliwiające dziecku wiejskiemu uczęszczanie do szkoły pełnej. Problem przebudowy szkoły na wsi, nie może się jednak tylko do tego ograniczyć. Celem zamierzonej reformy szkolnictwa podstawowego jest nie tylko zagęszczenie sieci szkół pełnych na wsi, ale również stworzenie warunków *do ukończenia 7 klasy przez możliwie największą liczbę pracujących chłopów.* Nowej strukturze organizacyjnej szkoły podstawowej towarzyszyć musi walka o podniesienie wyników nauczania, walka z drugorocznością, walka z t.zw. *„odsiewem szkolnym.“*

Nie wolno dopuścić do tego, aby rozbudowany warsztat szkolny działał źle, by dzieci chłopskie po zdobyciu dostępu do szkoły realizującej program 7 klas, gubiły się po drodze do klasy 7. Zjawisko „odsiewu szkolnego“ potwierdzają dane statystyczne. Oto w roku szkolnym 1948-49 w klasie pierwszej w szkołach podstawowych na wsi było 357.738 dzieci, a w klasie 7 tylko 129.524 *). Trzeba dodać, że

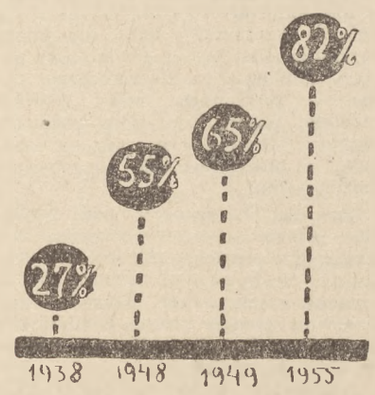

Tablica III. Stosunek procentowy liczby uczniów uczęszczających do szkół z najwyższą klasą siódmą, do ogółu uczniów w szkołach wiejskich.

„odsiew“ przed wojną w Polsce sanacyjnej był bez porównania większy i godził na wsi przede wszystkim w bezrolnych oraz drobno i średniorolnych chłopów.

Statystyka sanacyjna unikała kompromitującego dla ówczesnego reżimu podziału młodzieży szkolnej wg. składu socjalnego. Dlatego też posiadamy jedynie dane liczbowe, dotyczące ogółu dzieci w klasie pierwszej i siódmej szkoły powszechnej, które mówią nam o katastrofalnym wprost „odsiewie szkolnym“ przed wojną. W roku szkolnym 1937-38 liczba uczniów klasy siódmej stanowiła tylko 18 proc. liczby uczniów klasy pierwszej.

„Odsiew szkolny“ i dziś jeszcze posiada charakter klasowy, jest wyrazem walki klasowej, rozgrywającej się na terenie szkoły. Walka ta trwa do dziś. Dziecko bogacza wiejskiego z łatwością dochodzi do klasy siódmej, natomiast dziecko drobno i średniorolnego chłopa kończy swoją naukę w dużym odsetku przeważnie na klasie 4. Aby nie być gołosłownym przytoczę przykładowo dane statystyczne dla województwa warszawskiego, ilustrujące nasilenie walki klasowej w szkole, walki o dostęp dzieci do klasy siódmej **). Zestawienie poniższe świadczy o powadze sytuacji pod względem politycznym na odcinku szkolnictwa wiejskiego. Z danych liczbowych dla woj. warszawskiego widać, że *walka robotników i chłopów o dobrą szkołę dla własnych dzieci nie została zakończona,* że dziecko bogacza wiejskiego potrafi jeszcze w Polsce Ludowej odepchnąć dziecko biedoty wiejskiej od szkoły średniej lub wyższej właśnie dlatego, że osiąga to już w stosunku do wyższych klas szkoły podstawowej. W rozgrywającej się na wsi ostrej walce klasowej, bogaty chłop ma na odcinku szkolnym wciąż przewagę nad mało i średniorolnym chłopem.

Przebudowa szkoły wiejskiej musi więc pójść również w kierunku radykalnego zmniejszenia odsiewu dzieci chłopów *pracujących* z wyższych klas szkół podstawowych. Ważne to zadanie osiągniemy zarówno przez zmianę struktury organizacyjnej szkoły, jak też przez *walkę o wyniki nauczania i otoczenie szczególną opieką przez nauczycielstwo i władze szkolne dzieci bezrolnych oraz drobno i średniorolnych chłopów.* .

Przebudowa szkoły wiejskiej, troska o właściwy skład socjalny uczniów wyższych klas szkoły podstawowej na wsi, walka o utrzymanie tego właściwego składu socjalnego na wyrównanym poziomie czyli walka o podniesienie poziomu oświaty i kultury wśród *najbardziej zbliżonych do klasy robotniczej mało i średniorolnych chłopów* staje przed terenem jako pryncypalne zadanie. Koła partyjne, organizacje gospodarcze, społeczne, młodzieżowe i zaktywizowane Komitety Rodzicielskie muszą się nastawić długofalowo na tę walkę, której tok i wyniki przyśpieszą socjalistyczną przebudowę wsi polskiej.

WŁADYSŁAW OZGA

*) Porównaj: Szkolnictwo w liczbach 1948-49 zeszyt Nr 1 Wyd. Min. Oś.

**) Materiały liczbowe zaczerpnięte z Ministerstwa Oświaty. Opracowania dla całej Polski nie zostały jeszcze zakończone.

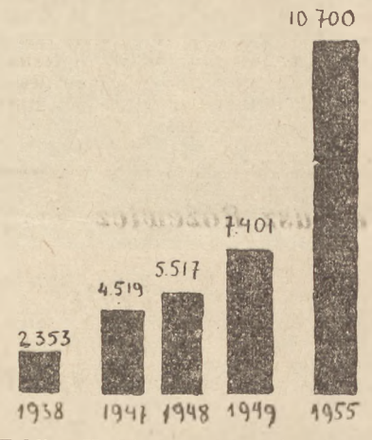

Tablica II. Liczba szkół pełnych na wsi.

Stosunek liczby dzieci klasy I do liczby dzieci klasy VII w zależności od przynależności klasowej rodziców w woj. warszawskim w roku szkolnym 1949-1950.

Wielkość gospodarstwa rodziców	Uczniowie		Stosunek procentowy uczniów kl. VII do kl.I
	w kl. I	w kl VII	
do 2 ha	5 110	2.314	45,3%
2— 7 ha	16 508	10.512	63,7 %
7—15 ha	4.874	4 981	102,2 %
15 i więcej ha	525	732	139,4 %

Józef Pogan

Dziadowskie budy*)

Bawiąc się, dokuczaliśmy nieraz starej, obłąkanej Dorce. Mieszkała sobie w malusieńkiej jak kojec chałupince, którą specjalnie na to sklecił Pietrek Łojowski, brat Dorki, gospodarz na czternastu morgach. Ale to nie była chałupka, tylko naprawdę psia buda. Wysoki chłop sięgał głową kalenicy „ozdobionej“ garnkiem bez dna. To był niby „komin“. W ściankę była wprawiona szybka wielkości mniej więcej koperty listowej. Zaglądaliśmy przez tę szybkę i obserwowali wnętrze budy. W kącie stał okopcony kominek, a połowę zabłoconej polepy zajmował barłóg ze słomy. Całość miała najwyżej dwa metry długości i półtora szerokości. Śmialiśmy się i wołali wesoło: — „Głupio Dorka, nie jodo z miski ino z gorka“! Dorka wylatywała przed drzwi, rzucała za nami garnkiem albo gnojem ze swego legowiska i krzyczała jakieś niezrozumiałe słowa.

Tuż za Dorczyną budą stała również na nawsiu chałupka Kantorowej, wdowy po wyrobniku. Chałupka ta była trochę większa od Dorczynej budy, lecz też miała kominek z garnka. Oprócz wąziutkiej sieńki i maleńkiej izbiny, nie było żadnej komórki, szopy czy choćby chlewika na owce. Zresztą chlewik nie był potrzebny, bo jedynymi bydlątkami Kantorowej były króliki pod łóżkiem.

Sąsiedzi, zarówno gospodarze jak i biedacy nazywali Kantorową „dziadówką“, gdyż od czasu do czasu łaziła po prośbie w sąsiadnich wioskach. Ale tylko wtedy, gdy ją głód wypędzał, gdy ją nikt nie najął do przędzenia lnu, skubania pierza i innej posługi. Nie wiele przy tym zarobiła: jakąś garść zboża, czy mąki, garniec ziemniaków, ale przecież siebie i córki jakoś posiliła. Później, gdy córki dorosły i poszły do służby — troszkę jej się „rozwidniło“. Ale często znów się „przyciemniało“, gdy córki na jakiś czas straciły służbę.

Naprzeciw, po drugiej stronie drogi stała chatka Stacha Łojowskiego, właściciela dwu morgów ziemi. Chałupka ta była troszkę większa od Kantorowej, miała komin z kamieni, a w sieni obórkę, bo Łojowski chował krowinę, którą pasał na nawsiu. O tę krowinę wszystkie sześć córek Łojowskiego „rzucały losy, której się na wiano dostanie“. Wiedziały, że tej, która się najpierw wyda. Tak rodzic przyrzekli. Aby im „Bóg błogosławił i szczęściem opatrzył“ — uczyli je cnotliwości, pracowitości i pobożności. Posłuszne córki pracowały pilnie u bogaczy, we dworze, lub w mieście na służbie, u „państwa“. Zaoszczędzone grosze przynosiły do domu na płacenie podatku, na sól i inne potrzeby.

Niżej znów, o parę domków za Kantorową chałupką na pagórkowatym placu Michała Pogana, miała chatkę stara Habdaska. Tam też był kominek z kamieni i w sieni pomieszczenie dla owiec. Syn Habdaski pracował w kopalni, trzy córki czasem służyły u gospodarzy, czasem przebywały w domu. Wtedy i chatkę wapnem pięknie wybieliły i w ogródku przed okienkiem kwiatki pielęgnowały. A do reszty zwabiały do siebie chłopaków. To też co wieczór było tam rojno i gwarno.

Powyżej, może o jakieś trzysta kroków stała nad nawsiem na sadzie Jana Pogana chałupka starej Matuski, a tuż obok — Leona Wawra. Matuscyna była jako kojec — wcale niewiększa od Dorczynej budy. Kominek też miała ze starego garnka. Wawrowa była troszkę większa i miała sień przegrodzoną w połowie na pomieszczenie dla owiec.

Dalej w stronę kościoła w pobliżu „Doliny“ stała kucka starej Jewki. Taka sama jak Kantorowej czy inne. Jewkę z Józką spotkało tam nieszczęście — łóżko wywróciło się z nimi do góry nogami. Nie był to żaden „cud“, ale zwyczajna „zewnętrzna siła“. Otóż wczas rano sąsiad wyjeżdżał do lasu. Nim ujął lejce w ręce — koń spłoszył się i popędził naprzód. Dyszel uderzył w ścianę Jewczynej kucki, przedziurawił ją, szarpnięciem w bok wywracając wewnątrz łóżko z śpiącymi kobietami. Jednak dyszel się nie złamał, koń też przełamał opór ściany i dalej popędził z wozem.

Na „Dębowej Górze“ stało dwie kucki. W jednej, mniejszej szewcował Jan Kantor, w drugiej mieszkali ze starą matką dwaj jego bracia. Staruszka leżała w łóżku, zaś synowie „gospodarowali“ na kawałku matczynego dożywocia. Ciężko im było, że bez soli jedli i popiołu zamiast mydła do prania używali. Toteż brata Jędrka często na polu z siekierami gonili.

— Śmierć twoja, jak nom nie dos spłaty, bo my nie bedymy zdychać od biedy! — krzyczeli. — Jo w Boga nie wierze i muse cie zakatrupić! — przysięgał się młodszy.

Jędrek też ledwie zipiał od biedy, więc nie „wykupywał“ się od ewentualnej śmierci uregulowaniem spłaty i po każdej napaści szedł ze skargą do policji. Palka policyjna na chwilę tylko uspakajała biednych wierzycieli. Wtedy błagali: — Panocku, my w Boga wierzymy i nie zabijemy go — udawali zbzikowanych. A niebawem: — Jo w Boga nie wierze, zaślagtuje cie jak mi nie dos spłaty! Wole zgnić w kryminale, jak zdychać od głodu!

Nieco niżej, niby jaskółcze gniazdo — przylepiona była do brzegu chałupka Bartka Habdasa. Maleńka jak inne, ale przecież troje ludzi jakoś się w niej zmieściło. I sień też była przepołowiona na pomieszczenie dla owiec. Habdas był bardzo pracowity i nie gardził żadną robotą. Narabiał wszędzie. Młócił zboże, grodził płoty, obcinał gałęzie na wierzbach i topolach, a nawet golił nieboszczyków i wkładał im ubrania. Wynagrodzenie pobierał niskie. Ile kto dał: trochę zboża, lub ziemniaków i do syta jedzenia podczas pracy, gdyż był zawsze głodny. Pono dużo zjadał. Karmili go więc gospodarze czymkolwiek, przeważnie suchym i twardym, żeby mu „dłużej w brzuchu siedziało“. I to raz Bartka zgubiło: pojadł niedogotowanego bobu, przejęczał parę dni i zmarł. Mało kto go pożałował, choć wielu gospodarzom tyle się wysługiwał. Nawet i żartowali sobie, że „mu bób w brzuchu skiełkował i rósł jak na zagonie“.

Poza tymi kuckami były jeszcze inne z różnymi „wypustkami, zahajami“ i szopami z chrustu plecionymi, zastępującymi stodoły. To były „zabudowania“ biedniejszych gospodarzy. Prosto naszej chałupy, po drugiej stronie drogi stała taka kucka Jana Filipka. Wyglądała „malowniczo“, z trzech bowiem stron opasywały ją zahaje z choiny i sklecone chlewiki na gęsi i kozy. Obok stała upleciona z chrustu stodoła. Gnojownia była na nawsiu przy drodze.

Filipek był bardzo pracowity, zabiegliwy i oszczędny. Kombinował rozmaicie, aby jakoś żyć. Hodował gęsi, kaczki, kozy, żona z dziećmi zbierały latem grzyby, borówki i nosiła je na sprzedaż do miasta. Mimo to chleb „rusany“ z żarnowej mąki jadali tylko w niedzielę i święta.

Filipek drwił czasem z sąsiada Jędrka Mrozowskiego, bo u niego panoszyła się nędza, że hej! Nie wiele pomagało Jędrkowi bezustanne wywijanie cepem nad swoją duszą u bogaczy — nędza zamiast folgować, jeszcze się pogarszała. Motyką ciupał ziemię, taczkami gnój w pole wywoził, a często nawet we workach z żoną wynosili. Gnojówka ciekła im po plecach, ale darmo i trudno — nie było pieniędzy na najem koni. Jędrek z Maryną stale się gryźli od biedy. Mieli najwyżej po jednej postrzępionej koszuli, bo o ubraniu czy spódnicy to szkoda gadać. Wyglądali jak te strachy w konopiach. A dzieci jak cyganiątka — nago prawie łaziły.

Oprócz nieruchomości (parę morgów kamienistej ziemi i chatka z przyklejoną szopą-stodołą) dobytek Mrozowskiego składał się: z kościstej krowiny, paru kur, kilku królików pod łóżkiem i roju karakonów w podprzypiecku, oraz ze starej skrzynki po dziadkach, ławki, łóżka, wyrka, pniaka w kącie izby do rąbania drzewa i trochę narzędzi jak: siekierka, cep, motyka itp.

Choć Mrozowski mieszkał gorzej od bydląt w chlewie, jednak starej Łabajce musiał wyporządzić chlewik na mieszkanie, bo jej się z racji jakiegoś pokrewieństwa należało. To Jędrka mocno przygniotło, bo musiał nową powałkę w chlewiku zrobić, ściany wapnem wybielić i okienko o czterech szybkach wprawić, bo Łabajka nie zgodziła się na jedną szybkę.

O kawałek od kucki Mrozowskiego cupiała pod brzegiem „Dębowej Góry“ kucka Franka Szlachty. Tam było trochę czyściej, niż u Mrozowskiego, ale za to o wiele ciaśniej. W jednym kącie stał piec, w drugim żarna, w trzecim i czwartym dwa łóżka. W środku było tyle wolnego miejsca, że domownicy prawie się pomieścili wokół ławki przy jedzeniu. A jak się krowa ocieliła, czy koza okociła — wtedy dopiero była ciżba, bo w chlewiku z przepołowionej sieni nie było gdzie „noworodków pomieścić“.

U Szlachty żyli trochę lepiej niż u Mrozowskiego, nie łazili tak obstrzępani i głodni, rzadziej motyką ziemię orali i taczkami gnój wywozili. A we worku już wcale nie nosili.

Sąsiad Szlachty, Jan Filipek, był pomysłowy i przeróżnie kombinował: i kawałek zarośli wykarczował i miotły na sprzedaż robił i kwiatki po lesie zbierał, czy choinę na jodłach obcinał i do miasta nosił i przed każdym Bożenarodzeniem oćpy zielonych drzewek do miasta wyniósł. Ale nie przepomógł biedy. Sprzedał kułakowi z Łaz, Piaśnikowi „zakichaną gospodarkę“ i uciekł do kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim. Później czasem zajrzał do wsi i chwalił się:

— Jak ino cłek mo robote, to ni ma to jak w Zogłębiu! Hm! psia! chlyb bioły! kawa słodko! wesoło! pociągi! światła! Samochody! ruch! jaz mlło! Hm! psia! ruch! zycie! nie tak jak w ty zaklęty wsi!

Od wschodniej strony „Dębowej Góry! miał kuckę stolarz Jan Szlachta. Sklecił ją za posag żony. Młody był, nie miał dzieci, to się i „dorabiał“: kupił sobie warsztat stolarski i wózek ręczny na wywożenie gnoju i zwożenie zboża i ziemniaków. No i „stodółkę“ z chrustu też przy ścianie ugrodził.

O wiele gorzej od stolarza żył jego ojciec Jan Szlachta, zwany „Gadacem“. Istny to był dziad, choć miał pięć morgów ziemi. Taczkami często gnój w pole wywoził i motyką orał. Izbę też miał nie większą od dużego kurnika, a „stodółkę“ z chrustu nie wiele większą od dużej kopki siania.

Sąsiedzi stale drwili z „Gadaca“, bo był zupełnie zacofany. Jeszcze gdy był młodszy, miał we wsi jakie takie poważanie, ponieważ leczył choroby gardła tzw. „żabę“ (opuchnięcie gardła, czyli angina). Umiał rozpoznać chorobę i lekarstwo też sam sporządzał. Chwytał małą, zieloną żabkę, przywiązywał jej sznurek do tylnych nóg i żywą wieszał na słońcu. Tak wysuszoną żabkę zawijał w chusteczkę i obwiązywał nią choremu szyję. Jeszcze na parę lat przed wojną uważano, że to pomaga, a i po wojnie też byli tacy, którzy temu wierzyli.

Chałupa Jasia Odrobiny też była mała i na dziadowską wyglądała. Komin miała prawdziwy, z kamieni i okna o czterech szybkach, za to ściany w pałąk wykrzywione. Stodoły też nie było, tylko szopa z chrustu przy ścianie. W izbie na krok od tylnej ściany stał wysoki i szeroki piec. Służył on nie tylko do gotowania strawy, ale i do sypiania.

— Józek, kaj ty sipios? — pyta mię raz syn Odrobiny, z którym zwykle się bawiłem.

— Na łóżku w nogach! A ty kaj?

— Za piecym.

— Nie gorąco ci?

— Nie, bo nago sipiom, bez koszuli.

— To ci zimno.

— Nie, bo śpie we worku.

— We worku...? — rozdziawiłem gębę.

— Zdyjme koszule, właze do worka, kłade się i śpie.

— Muse uźryć jak sipies.

— Przyjdź wiecór, to uźrys.

Pod wieczór poleciałem tam ze starszym bratem.

— Bodzies właził nago do worka, bo chce uźryć — szepnąłem. Zawstydził się i czekał.

— Do spania chłopoki! — gada ojciec — I wy tyz sie wynoście!

Skuliliśmy się pod ścianą i czekamy nieśmiało. Chłopak ściąga z siebie majtczęta i włazi w koszulinie za piec.

— Zdyjm to koszulsko, bo sie zedrze od spanio! — krzyknął ojciec. — Wy wisusy, wynocha juz! — otworzył drzwi.

Tyle było tych biedniackich i „gospodarskich“ bud w sąsiedztwie mych rodziców. W te na nawsiu chłopcy bawiąc się walili czasem kamieniami, bo to były przecie „dziadowskie budy“.

Józef Pogan

*) Fragment książki pt. „Niezakłamana opowieść“, która wkrótce ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“.

Tadeusz Papier

SPRAWA NAUCZYCIELKI

Jakkolwiek uregulowanie rzeki Sanicy nie ma nic wspólnego ze sprawami pedagogicznymi, to jednak historia ta od razu wypłynęła podczas przeprowadzanej samokrytyki tow. Chęcińskiej, nauczycielki szkoły podstawowej w Nowej Wsi.

W przeprowadzonej samokrytyce nauczycielka Grażyna Chęcińska podkreśliła dwa główne momenty swojej działalności społecznej: inicjatywę przy regulacji rzeki Sanicy oraz działalność społeczną w szkole. Nauczycielka szukała błędów w swojej pracy i znalazła je w „nie dość silnym wiązaniu się ze sprawami ogółu, nie dość energicznym udziale w podjętych akcjach", czasami „niewierze w powodzenie zaczętego dzieła", „gdyż wyniki byłyby duzo lepsze".

Tow. Seremak (sekretarz podstawowej organizacji partyjnej) podważył ten tok rozumowania. — Przepraszam bardzo — w pewnym momencie rozłożył na stole mapę wsi.— Oto nasza przeklęta rzeka. Zatruwała nam płuca od dzieciństwa. Kto ją naprawił? Można powiedzieć, nauczycielka. Z jej inicjatywy wyszedł projekt uregulowania rzeki i skierowania jej biegu inaczej. Zrobiła dobrze? Odpowiem, zrobiła dobrze, ale też i zrobiła źle!

Szkoła w której odbywało się zebranie, mieściła się na niewielkim wzgórzu, ocienionym kilkoma drzewami. Jakieś pięćset metrów na prawo przepływała rzeczka Sanica. Na mapie rzeczka była ledwie zaznaczona jako anemiczny strumyk, wijący się nieregularnie pośród bagnistego terenu. W istocie rzeka była już od dwóch lat uregulowana, brzegi odarnione, miejscami wyłożone kamieniem koryto ujęte w wiklinowe płotki. Wzdłuż rzeki pochylały się dwa rzędy wiklin. Teraz świeciło słońce i żółtozielone drzewka nadawały szczególną oprawę płynącej wodzie. Za wsią rzeka skręcała gwałtownie na południe i podchodziła prawie pod sam dom bogacza Michałowskiego. Ze szkoły widać było tylko dużą plamę zielonych drzew. Ledwie rysował się wśród nich biały, murowany dom bogacza. Widać było za to wyraźnie dwa kwadraty stawów i ciemną sylwetkę młyna.

Dawniej rosły nad rzeką wierzby, krzaki olszyny. Rzeczka płynęła leniwie, wiła się nieregularnie, omijając najmniejszą przeszkodę. Miejscami tworzyła naturalne stawki obrośnięte napół zgniłym rdestem, strzałką wodną, grzybieniami. Wieczorami unosiły się nad wodą roje komarów, prawie bez przerwy śpiewały chóry żabie. Wieczne mgły rozchodziły się nad sąsiadującymi polami. Mimo naturalnego spływu pola były zabagnione, zakisłe, łąki zamieniały się w grzęzawiska. Chłopi klęli śmierdzącą wodę, która prawie nie odchodziła z ich pól, ale nikt nie zdobył się na jakiś zaradczy środek. Przekopywano co prawda od czasu do czasu koryto, wycinano chwasty, ale większego pożytku z tego nie było. Taki stan istniał jeszcze do 45 roku.

Nauczycielka zwróciła na siebie uwagę partii wystąpieniem w sprawie uregulowania koryta rzeki. Więcej badając teren doszła do przekonania, że można by zmienić bieg rzeki i wówczas rozwiązałby się problem odwodnienia pól nowowiejskich. Projekt dawał realne korzyści. Gromada zyskiwała na tym około 5 hektarów dobrej łąki, nie mówiąc już o korzyściach odwodnienia pól. Sprowadzeni technicy — niemałą w tym wypadku pomocą służyła Samopomoc Chłopska — potwierdzili przypuszczenia nauczycielki. Zaczęły się teraz dla niej gorączkowe dni. Chodziła po organizacjach, agitowała. Zwołała zebranie dwóch sąsiednich gromad, które były zainteresowane sprawą. Historia stała się głośna w powiecie, a nawet szerzej, kiedy chłopi postanowili uregulować rzekę w ramach czynu na Święto Ludowe.

Były to pierwsze dwa lata powojenne, kiedy na wsi nie stawiano ostro walki klasowej, bito raczej na „zgodę narodową". Seremak mówił, że była to nie zgoda a zdrada narodowa. Do pracy stanęła cała wieś. Nawet bogacze nie uchylali się od szarwarków. W pewnych momentach byli nawet stroną inicjującą.

— Był to czyn, w którym — jak się wyraziła nauczycielka — wzięła udział cała wieś.

— Był to czyn w którym zdaliśmy co prawda egzamin organizacyjny i roboczy — mówił potem Seremak— ale też nie zdaliśmy egzaminu politycznego! Okazaliśmy się niedojrzali, krótkowzroczni. Nie winię tu tylko tow. Chęcińskiej, ten błąd obarcza nas jednakowo, ale trzeba go rozpatrzyć, bo kryje się tu niebezpieczeństwo na przyszłość. Tow. Chęcińska powtórzyła ten sam błąd w szkole.

Bliższa analiza wykazała, że popełniono tu zasadniczą omyłkę. Można było rzekę skierować dwiema drogami. Gdyby tow. Seremak i inni z organizacji przed rozpoczęciem robót przyjrzeli się dokładniej mapie rozmieszczenia gruntów gromadzkich spostrzegliby od razu dwie ścierające się ze sobą koncepcje. Można było poprowadzić bieg rzeki „starym korytem" po wschodniej stronie wzgórza, na którym stała szkoła i wówczas Sanica przepływałaby przez większą część gruntów należących do mało i średniorolnych chłopów. Wybrano z pozoru krótszą drogę i dającą co prawda prawie te same korzyści odwadniające, ale rzeka płynęła teraz przez pola najbogatszych chłopów. Nie zdawano sobie początkowo sprawy z takiego rozwiązania, a nawet cieszono się, że bogaci na tym stracili. Bogacze, jak Michałowski, Kozera, Kozłowski podtrzymywali tę opinię, użalali się na straty. Obliczali swoje dniówki. Argumentowali nawet — dlaczego nie puścić rzeki starym korytem przez pastwiska? Żale te potem urosły do takich rozmiarów, że chłopi poczęli wierzyć w krzywdę Michałowskiego i innych.

Dopiero kiedy bogacz Michałowski nie bacząc na „ubytek" ziemi pokopał stawy i tamy i począł stawiać zręby młyna i omal że nie decydował o poziomie wody na rzece, otworzyły się wszystkim oczy. — To interes dopiero — mówili chłopi. Ale mówiono raczej z podziwem. W roku 47 młyn już stał prawie gotowy, w stawach Michałowski założył hodowlę ryb, do kościoła zaczął jeździć bryczką.

rys. Stefan Gierowski

— W tym jest właśnie niebezpieczeństwo, w porozumieniu z kułakiem. To niby na pozór nieważne, którędy pójdzie rzeka — ale naszą powinnością było przewidzieć wszystkie konsekwencje.

Michałowski i Kozera dobrze wykorzystali kapitał włożony w regulację rzeki. Doszło do tego, że ich poczęto uważać za głównych inicjatorów robót. Ich wkład był przecie „największy": dniówki konne, robocze,, pieniądze. Nikt nie zadał sobie trudu, aby porównać wkład bogaczy i biedoty. Na uroczystym zakończeniu robót — Michałowski był wtedy prezesem gminnego PSL — chór z Nowej Wsi, który wystąpił ze specjalnym repertuarem pieśni dwuwierszowych na cześć każdego z członków komitetu roboczego, śpiewał pod adresem Michałowskiego:

„pan prezes się zlitował
i nam rzekę wybudował".

Michałowski mrużył dobrodusznie oczy i uśmiechał się przyjaźnie pod ekonomskim wąsem.

W tym okresie doszło do zerwania stosunków pomiędzy nauczycielką a „prezesem" Michałowskim. Spraw spornych nagromadziło się dużo. Uroczystość „rzeczna" mimo swego charakteru sielankowego sygnalizowała przyszłe konflikty. Zatarg o pastucha, którego Michałowski nie posyłał do szkoły spowodował pierwsze publiczne starcie nauczycielki z bogaczem. Michałowski prawie wyrzucił z domu interweniującą nauczycielkę.

Analizując teraz ten okres w życiu nauczycielki tow. Seremak powiedział, że mimo prowadzonej już wówczas walki z Michałowskim nauczycielka jeszcze niedokładnie zdawała sobie sprawę z charakteru tej walki. Spór cały odbywał się niejako w „rodzinie", Tow. Chęcińska nie ustawiała jeszcze Michałowskiego klasowo. Portret bogacza był zamazany. Nawet konsekwencje prywatne tego sporu należało oświetlić od strony politycznej. Bo były i związki prywatne!

Tow. Chęcińska była córką szewca z Nowej Wsi. Ojciec jej miał 1,5 hektara ziemi i z trudem mógł utrzymać przy życiu rodzinę złożoną z żony i trojga dzieci. Dorabiał też szewstwem. Naprawiał buty, robił na zimę drewniane chodaki, różne kombinacje sandałów. Rodzina pracowała u Michałowskiego i Kozery. Ten stan zależności i odrobków trwał całe lata. Stary Chęciński uprawiał swój zawód przed wojną pokątnie. Żal mu było pieniędzy nawet na wykupienie patentu. Często też odwiedzała go policja, lecz rzadko mogła wytoczyć mu proces o uprawianie potajemnie zawodu. Stary miał zwyczaj przyjmowania obstalunków najwyżej od dwóch klientów, tak że zapas butów w domu nigdy nie wzbudzał żadnego podejrzenia. Ale i wtedy, gdy policjant odprowadzał go do gminy na badanie interwencja Michałowskiego robiła swoje. Stary wracał do domu szczęśliwy, że nie musi płacić kary. Wieczorem przez posłańca Michałowski przysyłał mu jakieś buty do naprawy. Kiedy indziej bogacz ratował rodzinę Chęcińskich w nagłej potrzebie, przysyłając w krytycznych momentach ziemniaki, żyto, lub nawet służył pieniędzmi. — At, odrobicie ta kiedyś — mówił przy tym lekceważąco, kiedy stary szewc nie wiedział, jak mu dziękować. Nie zapominał jednak notować sum, które wydawał na dzieci Michałowskiego, no może jeszcze ktoś, ale z bliższych znajomych... Szewc zgodził się chętnie. Grażyna przerobiła w ten sposób cztery klasy gimnazjalne. Po wojnie zgłosiła się na nauczycielkę w rodzinnej wsi. Kontynuowała w dalszym ciągu studia korespondencyjnie.

Michałowski początkowo pobłażliwie odnosił się do nowej nauczycielki, sam dziwił się jej awansowi, nie spodziewał się tego. Podczas regulacji Sanicy doszło nawet do parokrotnych starć między nimi. Nauczycielka pilnowała świadczeń i parę razy wytknęła Michałowskiemu, że więcej mówi, niż robi. On zaś zarzucał jej kontakty z Seremakiem i Kożuchem. Nie radził zbytnio angażować się w „politykę". Kiedy dowiedział się, że Chęcińska wstąpiła do partii, zrobił przyjacielską scenę jej ojcu. Po pierwszym poważniejszym konflikcie, który nastąpił z powodu pastucha, Michałowski zaszedł do szewca i upomniał go — „ustatkujcie córkę, wiecie co macie mi do zawdzięczenia, gdyż inaczej z wami pogadam." Pokazał przy tym szewcowi kartki z długiem.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności" Michałowskiemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikołajczykowskiego, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym" w walce klasowej, w której zagrożony kułak przechodzi do kontrofensywy. Żadnego grosza bogacz nie wyrzuca na „filantropię". Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wyzysk społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach" całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą". Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędny". I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła" Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgniłe zioła nie pływały po małych stawkach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na różne świadczenia dla szkoły, przywoził drzewo na opał, naprawił dach, ale nie w tym rzecz. Można by to nazwać dalekowzrocznością polityczną bogaczy. „Zwycięstwa nad Sanicą" pozwoliło Michałowskiemu i spółce na realizację dalszego etapu, mimo, że we wsi następowały niedobre dla nich zmiany.

W gminie wójtem został chłop małorolny, Kożuch, do gminnej rady narodowej wchodzili sami mało i średniorolni chłopi, sołtysami byli w przeważnej części dawni odrobnicy Michałowskich, Boguckich, Kozerów. W 46 r. jeszcze śmieszyli bogaczy wiejskich „urzędnicy, którzy przed wojną kozę odsiadywali",. Kiedy jednak sołtys Nowej Wsi Kowalec zagroził publicznie Michałowskiemu, że w wypadku ukrywania swoich dochodów (bogacz chciał „załatwić" w gminie uznanie trzech hektarów za nieużytki) pójdzie zapoznać się z tą samą kozą, do której przed wojną zamykał innych, kiedy tu i ówdzie partia zaczęła ukrócać bogaczy — ci jakby oprzytomnieli. Zmienili też i taktykę walki.

Szkoła wydawała się Michałowskiemu i innym bogatym chłopom tą instytucją, którą należało przede wszystkim opanować. Grono pedagogiczne nie wydawało się bogaczom zbyt trudną pozycją do zdobycia. Kierownikiem był stary nauczyciel, który „zasadniczo nie mieszał się do polityki".

Dwie nauczycielki również stały na gruncie „lojalności". Jedynie tow. Chęcińska budziła pewien niepokój w bogaczach. Michałowski jednak uśmiechał się drwiąco: — da się radę! Nie takie przeszkody omijaliśmy? Wiedział, że nauczycielka ma w domu stale kłopoty z ojcem i matką. Rodzice wyrzucali jej „odszczepienie", przepowiadali klęskę. Upojony był przy tym sukcesem z Sanicą. Młyn już zaczął zwracać wkłady.

rys. Stefan Gierowski

Nauczycielka w swoim notatniku zapisała potem, że na zebraniu bardziej dotknęła ją krytyka towarzyszy, odnosząca się do jej działalności w szkole, niż do okresu Sanicy, podczas gdy analiza polityki „rzecznej" pomogła uświadomić wszystkim w partii na czym polega czujność rewolucyjna, bo wskazała właśnie na dalszy ciąg tej sprawy w szkole. Zarzuty stawiane przez Seremaka, Kożucha, Cieślika odnośnie jej działalności społecznej na terenie szkoły wydały się nauczycielce z razu niesłuszne, krzywdzące, a nawet bezpodstawne. Cieślik, stary przyjaciel jej ojca, powiedział wprost, że tow, Chęcińska „nie zerwała jeszcze całkowicie z ugodową polityką z okresu przedwojennego, kiedy chodziła z wdzięcznością, podkreślił — *z wdzięcznością* — odrabiać żniwa na pole bogacza".

Nauczycielka w swoim prywatnym dzienniku zapisała: „najmocniej odczułam zarzut postawiony przez tow. Kożucha a później jeszcze raz podniesiony przez tow. Seremaka, że owoce mojej pracy szkolnej nie budzą w nich zbytniego entuzjazmu. Podważono przede wszystkim to, z czego dotychczas najbardziej byłam dumna, że nasza szkoła w ciągu pięciu lat powojennych skierowała na studia średnie 70 uczniów, podczas gdy przez całe dwudziestolecie z całej gminy uczyło się zaledwie 12 synów chłopskich".

Na zebraniu podkreśliłam, że liczba uczniów, dzieci chłopskich kierowanych na studia wyższe z roku na rok wzrasta. I tak w ostatnim roku szkolnym na 52 uczniów w klasie VII zostało skierowanych na studia średnie i ogólnokształcące 21 uczniów. W miarę sił starałam się pomagać swoim uczniom, odrabiałam z nimi lekcje, wolne godziny przeznaczałam na dokształcanie słabszych. I wyniki osiągnęłam. Komisja społeczna, która zjechała na końcowe egzaminy, wydała mi najlepsze świadectwo. Któryś z delegatów, zdaje się przedstawiciel zarządu powiatowego ZSCh wyraził się, że warto by zaprosić nauczycieli z gimnazjum, aby posłuchali, jak odpowiadają chłopskie dzieci.

Zebranie grona pedagogicznego i rodziców, które odbyło się w parę dni po egzaminach na mój wniosek, jako wychowawczyni VII klasy wytypowało 21 kandydatów na studia.

I kiedy miałam już wrażenie, że towarzysze z partii zostali przekonani o moich bezspornych wynikach — o moim poświęceniu w szkole — tow. Seremak wystąpił z takim oświadczeniem, które mnie zdruzgotało, ale też nareszcie pomogło przejrzeć na oczy.

Tow. Seremak powiedział: To wyście wytypowali tych kandydatów, czy Michałowski, Kozera i inni, którzy stali za plecami bogaczy? Wy się dziwicie mojemu pytaniu? To patrzcie, przyniosłem kartkę, na której obliczyliśmy kto w ciągu pięciu lat wyszedł do liceów i na studia. Oto macie.

W 1945 r. — 9. W tym jak wiecie z małorolnych tylko Wy, ze średniorolnych 1. To była ta „szkółka Michałowskiego" z okresu okupacji dla „średniego stanu".

W 1946 — 7. Biedniak jeden średniak żaden.

W 1947 — 9. Biedniaków 3.

W 1948 — 10. Biedniaków 4, Średniaków 2.

W 1949 — 14 Biedniaków 4, Średniaków 2.

W 1950 — 21 Biedniaków 6, Średniaków 5.

Wy się nad tą listą zastanówcie. Skąd takie wyniki? A stąd, że przez całe pięć lat odbywał się i odbywa odsiew dzieci małorolnych. Obrywały się na 4 klasie i do 7-mej dochodził ich mały procent.

A cóż Wyście robiła Towarzyszko? Was zachwyciła możliwość masowego wchodzenia dzieci chłopskich do szkół wyższych. Wyście wzięła na ambit, aby z naszej zbiorowej szkoły wypuścić ich w świat jak najwięcej! I wypuściliście. Ale czyje dzieci?

Wy prawdziwie mówiliście o Waszym poświęceniu. Tak, robiliście Towarzyszko kursy i korepetycje bezpłatne dla słabszych z VI i VII oddziału, aby na egzaminy do gimnazjum poszły dobrze przygotowane. Furmankami po południu i wieczorem zjeżdżały na dodatkowe lekcje dzieci — ale czyje? Te, które odsiew przetrzymały, bogackie dzieci. Wyście w tej akcji, puszczania w świat", zapomnieli o „progu śmierci" dla młodzieży biedniackiej. Zapomnieliście o tym, kto wam zostaje w ręku. A Michałowski nie zapomniał. Ten lis już przy „okupacyjnej szkółce" skombinował, co to za narzędzie klasowe bogaczy. Najpierw liczył na panowanie prywatnej inicjatywy. Dlatego przewodził PSL-owi. Potem wziął na kurs „konkurencji i przetrzymania". Nasze dzieci, kułackie i klienckie — rozumował — będą na „pozycjach", w tych „jeich kadrach" A to ci będzie zamęt!

Czyż to nie on w Komitecie Rodzicielskim podbechtywał Was i nauczycieli żeby jaknajwięcej i jaknajszybciej do szkół pchnąć dzieci? Czy to nie on i spółka Kozerów i innych nie dawali wam odsapnąć i zastanowić się, jaka to jakość jest w tej rosnącej ilości?

On i inni kułacy kręcili się nachalnie koło szkoły, aby oddzielić Was od rodziców małorolnych, często po staremu zatrzymujących dzieci przy robocie. Oni starali się Wam zaimponować inicjatywą, przedsiębiorczością, filantropią, uznaniem dla Was i obłudnym przejęciem się sprawą oświaty. Oni wiedzieli że wy z dziecka nawykliście patrzeć na nich z podziwem i szacunkiem. Oni chcieli w Was wmówić, że są, jeśli nie jedynymi to najbardziej wciąż jeszcze odpowiednimi współagitatorami i orędownikami oświaty. I tak Was zrobili za hetkę i pętelkę swoją.

Zapisałem tę ostatnią krytykę Tow. Seremaka możliwie wiernie, aby ją sobie od czasu do czasu odczytywać jako mój nauczycielski *manifest czujności i wiedzy o wrogu.*

Tadeusz Papier.

Tadeusz Różewicz

Nowe wiersze

Wodospad Szklarski

Tu woda się oddziera
od kamiennego łoża
Spada ze zgiełkiem
i kaleczy ściany

I białe piany
jak wielkie motyle
płyną lecąc

Kamienie leżą
w plamach słońca
jak opuszczone
czarne stoły

Drzewo otwarło skałę
jak muszlę z ostrą krawędzią
i ptaki śpiewają
w jego koronie.

Odkrycie pierwotnych barw w ołtarzu Wita Stwosza

Był on pokryty mułem
barw, które nie miały w sobie
światła i życia

Z dna wieków wyjrzała
barwa pierwsza
tak żywa
jakby ołtarz przed chwilą
wynieśli na wiosenne słońce
czeladnicy mistrza

Wynurzają się figury —
błysnął rubin, szmaragd, złoto
i krew zaczyna krążyć
w licach apostołów.

Przed burzą

Chmury mosiężne i czarne
zderzają się
nad milczącymi polami

Lny kwitną
a potem gniją
w ciepłej wodzie
rozwiązane

Dotknął czuba głowy
nietoperz szeleszczący

Serce tłucze w ostre żebra
kaleczy nas serce,
w którym jest strach

W NUMERZE TYGODNIKA „WIEŚ"
Nr 25 (256) z dnia 25.VI.1950 r.

Hieromin Michalski — Nowe w kulturze i literaturze Rumunii. **Radu Bourianu** — Staniemy murem. **Anna Kamieńska** — Maria Konopnicka. **Piotr Pigwa** — Robotnicza satyra polityczna. **Marcin Wielgus** — Chłopi polscy o kołchozach. **Stanisław Arnold** — O periodyzacji dziejów Polski. **Witold Łukaszewicz** — Kołłątaj a mieszczaństwo. **Jan Błoński** — Pogłosy i zapowiedź. **Jan Nagrabiecki** — Port i morze. **Franciszek Fenikowski** — Dokerzy. **Józef Łabuz** — Powstanie ropczycko - rzeszowskie. **Władysław Dunarowicz** — W Sudetach piękna wiosna. **Krystyna Michalik - Nedelkowić** — Poczęty w wolności. **Walentyn Katajew** — Mark Twain i Ameryka. **Jerzy K. Maciejewski** — Najmłodsze kadry. **Piotr Chmura** — Okruchy „etnograficzne". **Fakty i zdania.** 22 ilustracje. Stron 8

Kazimierz Kąkol

Socjalistyczna dyscyplina pracy

Zagadnienie socjalistycznej dyscypliny pracy stanowi część problematyki społecznej naszych czasów. Najbardziej ogólna treść tej problematyki, to konieczność podejmowania i przeprowadzania szeroko zakrojonych zmian w procesach produkcji, które ukształtują nową świadomość obywateli państwa socjalistycznego.

Ustawiczny wzrost produkcji towarzyszy pochodowi socjalizmu. Ale jeśli plany nasze przewidują, że produkcja przemysłowa wzrośnie w ciągu lat sześciu dwukrotnie w stosunku do roku 1949, a produkcja rolna o ponad 40% — to należy sobie dokładnie zdawać sprawę z tego, że realizacja tych planów zależy i od tego, czy wykwalifikowany pracownik jest właściwie ustawiony wewnątrz aparatu produkcyjnego; czy załoga fabryki, kopalni, instytucji — żyje jej życiem, czuje się gospodarzem zakładu, jest dokładnie obeznana z jego problematyką; czy stosunek do pracy jest stosunkiem socjalistycznym, czy wykazuje cechy, jakimi odznaczać się winna praca *„na swoim"* i *„dla siebie"*, czy praca stała się istotnie sprawą honoru i czci każdego obywatela.

Zagadnienie dyscypliny pracy nie jest jedynym zagadnieniem wynikającym z przebiegu wydarzeń na froncie gospodarczym. Nie da się ono oddzielić od problemu płynności kadr i racjonalnej gospodarki pracownikami wykwalifikowanymi.

Wszystkie one są problemami dzisiaj — w warunkach socjalistycznej gospodarki; nie były nimi wczoraj — w ustroju kapitalistycznym.

W gospodarce kapitalistycznej wstrząsanej ustawicznie kryzysami ekonomicznymi, wykazującej trwałe niedopasowanie liczby rąk sięgających po pracę do liczby stanowisk roboczych, stojących do ich dyspozycji — nie było miejsca na dbałość o racjonalne rozmieszczenie i dobór sił fachowych.

Groźba braku pracy, nędza setek tysięcy bezrobotnych, wymuszała bezduszną dyscyplinę, skłaniała do milczenia nawet w przypadkach jawnych nadużyć ze strony pracodawcy, narzucała pracownikowi konieczność kurczowego trzymania się miejsca zatrudnienia.

Z drugiej zaś strony brak pracy skłaniał bezrobotnego do poszukiwania wszelkich dostępnych zajęć; nie kryterium fachowości, przygotowania zawodowego, decydowało o wiązaniu się z warsztatem pracy, lecz istnienie pewnych luzów na rynku pracy, dających szanse zdobycia zatrudnienia.

O właściwym spożytkowaniu sił ludzkich, o racjonalnym gospodarowaniu nimi nie było mowy: młody człowiek, przygotowany do pracy w zawodzie, stawał się bezrobotnym, zanim jeszcze zaczął pracować; miliony chłopów stanowiły armię ludzi „zbędnych" — niewykorzystanych produkcyjnie; mówiło się głośno o „nadprodukcji inteligencji", podczas gdy wiele istotnych potrzeb nie było zaspokojonych; przy braku perspektyw rozwojowych nie było miejsca na troskę o kadry i o ich rozbudowę.

W gospodarce socjalistycznej sytuacja jest zasadniczo odmienna; postępujący rozwój życia gospodarczego, realizacja planów gospodarczych — doprowadziły do likwidacji bezrobocia, nędzy i głodu, zamiast nadmiaru rąk roboczych, nie mogących znaleźć produkcyjnego zastosowania — odczuwa się ich brak, konieczne jest sięganie do ukrytych rezerw pracy; postęp w zakresie warunków bytowania i pracy — traktor i żarówka na wsi — to zapotrzebowanie na lekarza, księgowego, mechanika — traktorzystę.

Wraz z usunięciem groźby bezrobocia zniknęła atmosfera bezdusznej dyscypliny, utrzymywanej w wyniku istnienia rezerwowej armii pracy — nie zniknęła jednak potrzeba dyscypliny, wprost przeciwnie wzrosła jeszcze ze względu na planowość i wzajemne powiązanie działań gospodarczych.

Wraz z likwidacją chronicznego nadmiaru rąk roboczych zniknęła konieczność kurczowego trzymania się jednego miejsca zatrudnienia — spotęgowała się jednak, w związku z odczuwanym brakiem sił pracowniczych, potrzeba racjonalnej gospodarki nimi. Niczym nieuzasadniona wędrówka z jednego zakładu pracy do drugiego, płynność kadr — może podważyć możliwości realizowania planów, podobnie jak niewłaściwe rozmieszczenie fachowców, brak ludzi przygotowanych zawodowo tam, gdzie są najbardziej potrzebni.

Problemy dyscypliny pracy, płynności kadr, planowej gospodarki siłami fachowymi — występują nie tylko w Polsce; jest to problematyka każdego systemu gospodarczego, który już usunął fundamenty dawnego ustroju, już daje pracę i chleb, ale w pełniejszej mierze może to czynić pod warunkiem likwidacji dawnych nawyków, pod warunkiem ukształtowania nowej postawy społecznej ludzi pracy.

W Związku Radzieckim można było obserwować przed wojną wydarzenia analogiczne do spotykanych dzisiaj u nas.

Płynność kadr osiągała pokaźne rozmiary. Przeciętna liczba przystąpień do pracy wyrażona w odsetkach przeciętnej liczby zatrudnionych wynosiła (dane dla całego przemysłu) w roku 1928 — 100%, w r. 1930 — 176,4%, w r. 1932 — 127,1%, w r. 1934 — 100,5%.

Czasopismo radzieckie „Industria" notuje jeszcze w roku 1940 (26.VI) rażące przykłady braku dyscypliny pracy w wytwórni gumowej „Czerwony Trójkąt", wykazując ich katastrofalne skutki gospodarcze.

Nieusprawiedliwiona nieobecność dziewięciu tylko pracowników (z których pięciu odbywało poprzedniej nocy libację, a czterech opuściło pracę, spodziewając się po ewentualnym karnym zwolnieniu zdobyć korzystniejsze zatrudnienie) spowodowała zmniejszenie się dziennej produkcji o 6.000 par kaloszy.

Zagadnienie planowej gospodarki siłami fachowymi pojawiło się wraz z zapoczątkowaniem socjalistycznego budownictwa.

Gigantyczne wędrówki ludności rolniczej do pracy w zakładach przemysłowych, kolosalny wzrost liczby kobiet zatrudnionych w przemyśle, miliony nowych, wykwalifikowanych pracowników, opanowujących technikę — tylko przy konsekwentnie realizowanym planie było możliwe zapanowanie nad tymi procesami.

Środki zaradcze, jakie zastosowano w ZSRR, były różnorodne: podjęto wytężoną akcję uświadamiającą; ukształtowano system świadczeń socjalnych tak, że stanowił on zachętę do przestrzegania zasad właściwego stosunku do pracy. Konstrukcja norm płac, świadczeń, ubezpieczeń społecznych, uprawnień urlopowych, czasu pracy — dawała przywileje pracownikom zdyscyplinowanym; przy pomocy tych zabiegów starano się uczynić bardziej atrakcyjną pracę w tych gałęziach gospodarki, w których jest ona szczególnie ciężka i wyczerpująca. Przystąpiono do karania tych, którzy naruszali świadomie i złośliwie dyscyplinę pracy, utrudniając pracę i innym. To wszystko na bazie wielkiej uświadamiającej pracy ideologiczno-politycznej dało spodziewane rezultaty.

Podobna kampania rozpoczęła się i u nas.

Związki zawodowe wysunęły sprawę socjalistycznego stosunku do pracy na czoło zagadnień, stanowiących przedmiot ich pracy polityczno-wychowawczej. II Kongres Związków Zawodowych powziął w tym zakresie zdecydowane uchwały: stwierdził, „że związki zawodowe winny wychowywać robotników i pracowników umysłowych w duchu świadomej dyscypliny pracy, w celu pełnego wykorzystania dnia roboczego".

Kształtowanie socjalistycznego stosunku do pracy odbywa się przede wszystkim poprzez stawianie wzorców, dawanie dobrego przykładu. I jeżeli w kopalni „Generał Zawadzki" liczba przodowników pracy (wykonują przeciętnie ponad 180% normy) przekracza 1.100, jeżeli w hucie „Batory" jest ich 600, jeżeli w zakładach im. Stalina w Poznaniu (dawniej Cegielski) przodowników pracy (takich, którzy trzykrotnie zajęli pierwsze miejsce we współzawodnictwie) jest 282 — to taki zakład staje się najlepszą szkołą socjalistycznego stosunku do pracy i dyscypliny socjalistycznej.

13.000 robotników na kierowniczych stanowiskach w przemyśle, awansy naszych przodowników pracy, olbrzymie wyniki szkolenia zawodowego — oto przykłady słusznej gospodarki kadrami, niejednokrotnie inicjowanej przez ruch zawodowy.

Powołanie robotnika do spełniania funkcji współgospodarza zakładu pracy, danie mu wielkich uprawnień w zakresie zagadnień produkcyjnych — wytworzyło już dzisiaj rodzaj patriotyzmu zakładowego, związało pracownika ściśle z jego miejscem pracy, skutecznie powstrzymało płynność kadr.

Ta wewnętrzna organiczna praca związków zawodowych dała także materialne efekty, że dzisiaj stać nas na przyjście z pomocą tej pracy z zewnątrz.

Możliwa stała się ofensywa ustaw, dźwigających na wyższy poziom warunki pracy i bytowania.

Znamienny jest przebieg tej ofensywy.

30.XI.1949 r. zapadła uchwała Rady Ministrów w sprawie szczególnych przywilejów dla górników w górnictwie węglowym. Karta Górnicza przyniosła górnikom korzyści, które ze względu na warunki ich pracy oraz kluczową pozycję górnictwa w naszej gospodarce narodowej, oddawna im się należały. Stanowi ona wyraz zerwania ze schematyzmem świadczeń socjalnych, niejednokrotnie dotychczas niedopasowanych do potrzeb życia, premiując tych, którzy na to szczególnie zasługują.

20.I.1950 r. Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów ustalił zasady gospodarki Funduszem Socjalnym, zapewniając Radzie Zakładowej możliwość wydawania dyspozycji, mających na celu jak najbardziej właściwe zaspokajanie potrzeb pracowniczych.

4.II.1950 r. Sejm uchwalił ustawę o utworzeniu Społecznej Inspekcji Pracy; daje ona samym zainteresowanym uprawnienia do kształtowania warunków pracy w zakładach, pozwala wzmóc kontrolę nad przestrzeganiem przepisów ustawodawstwa pracy, podnieść stan bezpieczeństwa i higieny pracy, nasilić walkę z chorobami zawodowymi.

4.II.1950 r. uchwalona została ustawa o Funduszu Zakładowym, przeznaczonym na ponadplanowe inwestycje kulturalne i socjalne, na ponadplanowe budownictwo mieszkaniowe, służące potrzebom załogi przedsiębiorstwa, na zasilenie budżetu wydatków socjalnych, na indywidualne wynagradzanie wyróżniających się pracowników. Fundusz Zakładowy jest formą udziału załogi w zyskach przedsiębiorstwa — w zyskach planowanych i ponadplanowych, jego rozmiary zależne są od rezultatów pracy załogi, jako całości, nie wystarczą indywidualne osiągnięcia przodowników pracy — konieczna jest wysoka przeciętna wydajność zespołu; lekceważenie pracy przez część jego członków może stanowić zaporę na drodze do uzyskania Funduszu.

20.III.1950 r. wprowadzone zostały zmiany w zakresie ustawodawstwa urlopowego. Przedłużono czasokresy urlopowe dla robotników, zlecając jednocześnie Radzie Ministrów wprowadzenie dodatkowych urlopów dla ciężko pracujących. Podobnie jak w przypadku Karty Górniczej oznacza to zerwanie z normami niedopasowanymi do życia; przy pomocy specjalnych świadczeń, przywilejów zwiększa się atrakcyjność pewnych zawodów, neutralizuje się złe ich strony, premiuje się pracowników, zatrudnionych przez dłuższy okres czasu w jednym zakładzie pracy.

Rezultaty wzrostu produkcji są obecnie najbardziej bezpośrednio odczuwane przez każdego pracownika, ma on możliwość podejmowania działań, które rezultaty te spotęgują. Stanowi to zachętę do respektowania zasad organizacji i dyscypliny pracy.

Jeżeli w tej sytuacji znajdują się tacy, którzy korzystając z dóbr wygospodarowanych przez zbiorowość nie są skłonni podporządkować się moralnym prawom, rządzącym życiem tej zbiorowości, to całkowicie słuszne jest sięgnięcie po argumenty innego rodzaju.

Ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy i zapobieganiu płynności kadr przychodzą z pomocą związkom zawodowym w ich pracy wychowawczej. O pomoc tę związki same poprosiły. III Plenum CRZZ doszło do wniosku, że „koniecznym staje się odpowiedni akt prawodawczy, który by w sposób zasadniczy rozwiązywał problem całkowitej likwidacji nieusprawiedliwionej absencji".

Rosnące potrzeby gospodarki socjalistycznej wymagają prowadzenia planowej polityki w dziedzinie zatrudniania nowych, kwalifikowanych kadr, wymagają także kadr trwale związanych z zakładami: pracy; w oparciu o ustawy z 7.III.1950 r. potrzeby te zostaną zaspokojone.

Absolwenci szkół zawodowych i szkół wyższych, którzy zdobyli wiedzę fachową dzięki wysiłkowi całego społeczeństwa, przeznaczającego ogromne sumy na ich szkolenie, będą zatrudniani tam, gdzie ze względu na interes społeczny są najbardziej pożądani.

Pracownicy posiadający szczególnie cenne kwalifikacje zawodowe, nie mogą w niektórych przypadkach porzucać dotychczasowego miejsca pracy.

Wszyscy zawodowo czynni mają obowiązek przestrzegania zasad dyscypliny. Łazikowanie i opuszczanie pracy bez powodu może się stać poważnym problemem gospodarczym: utrata kilku milionów dniówek roboczych, bez dostatecznych ku temu powodów, zagraża realizacji planów produkcyjnych, dezorganizuje pracę, obniża ogólny poziom zarobków. Trzeba było położyć kres temu zjawisku.

Ustawa z 19.IV.1950 r. ma wyraźny charakter wychowawczy: przewiduje kary za nieprzestrzeganie zasad dyscypliny, ale także nagrody za pozostawanie z nimi w zgodzie: stopniuje kary, w zależności od rodzaju przewinienia; opiera wyrokowanie na opinii towarzyszy pracy; otwiera drogi powrotu dla tych wszystkich, którzy chcą porzucić niewłaściwe szlaki.

Ustawa kończy pewien etap procesu socjalistycznego wychowania i zapoczątkowuje nowy. Dodatnie rezultaty tego procesu warunkują dalszy rozwój gospodarczy. Stąd ich przełomowe znaczenie.

Kazimierz Kąkol

Stanisław Cieślak

Przyjaźń polsko - niemiecka

WALCZĄC o pogłębienie przyjaźni polsko - niemieckiej trzeba pamiętać, że ta sprawa stała się, wskutek swej ważności, dziedziną wzmożonej działalności wroga klasowego. Zarówno zagraniczna jak i krajowa propaganda reakcyjna dokłada wszelkich wysiłków, aby tą przyjaźń podważyć i osłabić. Ulubionym chwytem tej wrogiej propagandy jest poddawanie w wątpliwość trwałości umów polsko-niemieckich przy pomocy różnych idealistycznych wykrętów w rodzaju pytania: czy można ująć tak szybkiej przemianie „psychikę"(???) narodu niemieckiego, którego przecież „odwieczną"(???) cechą jest zaborczość.

Pogląd o „odwiecznej" zaborczości Niemców jest nonsensem historycznym. Drapieżność i zaborczość w stosunku do sąsiadów jest znamienną cechą wszystkich społeczeństw antagonistycznych o klasowej strukturze społecznej, a nasilenie zaborczej polityki wiąże się zawsze z narastaniem walki klasowej w tych społeczeństwach i stanowi odbicie wzmożonego ucisku i wyzysku wewnątrz społeczeństwa.

Polityka ekspansji nie wynika z „odwiecznych cech narodu" (bo takich nie ma), ale z układu stosunków społeczno - gospodarczych, stanowiąc ich ideologiczną nadbudowę. Polityka brutalnej przemocy i ekspansji prowadząca do ludobójstwa osiąga największe nasilenie w tych epokach historycznych, w których walka klasowa dochodzi do zenitu, towarzyszy więc zwłaszcza ustrojowi kapitalistycznemu w jego schyłkowym już okresie kapitalizmu. Wyrazem jej jest międzynarodowy faszyzm, zjawisko historyczne o zasięgu międzynarodowym, tak jak międzynarodowym jest i kapitalizm, jednakowo drapieżny, cyniczny i okrutny w swej niemieckiej, włoskiej, japońskiej, polskiej, hiszpańskiej czy amerykańskiej postaci. Najbardziej brutalny terror wewnętrzny a na zewnątrz imperialistyczna zaborczość wydaje się bowiem kapitalistom (w okresie bezpośrednio poprzedzającym upadek ich władzy jedynym środkiem zabezpieczenia ich eksploatorskich, klasowych interesów. Polityka przemocy stosowana przez faszyzm w jego różnych odmianach często uzupełniana jest polityką układów i chwilowych paktów o nieagresji czy układami o „wzajemnej pomocy", dość przytoczyć pakt Berlin — Tokio — Rzym, układ Beck — Ribbentrop czy ostatni pakt atlantycki.

Nie wolno zatem utożsamiać narodu niemieckiego z hitleryzmem. Wielkość i doniosłość zawartych niedawno umów polsko - niemieckich dla mas pracujących obu narodów i dla sprawy pokoju i postępu na całym świecie wyjaśnić trzeba na tle analizy międzynarodowego faszyzmu, tego największego w historii oszustwa, przy pomocy którego z chłopów i z robotników (nie tylko zresztą niemieckich), uczyniono bezwolne narzędzie ludobójczej polityki międzynarodowej (nie tylko zresztą niemieckiego) kapitału.

Rozważając zasadniczy zwrot, jaki się dokonał w stosunkach między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną należy podkreślać że trwałość nawiązanych stosunków przyjaźni opiera się na mocnych podstawach. Siłę ich stanowi nie tylko fakt, że kierownictwo Niemieckiej Republiki Demokratycznej spoczywa w rękach ludzi, do których można mieć całkowite zaufanie, bo przez całe swe życie walczyli ofiarnie o socjalizm, a więc o ogólnoludzkie ideały sprawiedliwości, wolności i braterstwa narodów. Trwałość przyjaźni polsko - niemieckiej gwarantuje przede wszystkim ta sama w swej istocie przebudowa stosunków społecznych i gospodarczych w kierunku socjalizmu dokonywana i w Polsce i w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Na bazie bowiem tego nowego ustroju wyrasta po obu stronach granicy, nowa świadomość, wolna od nacjonalizmu i zaborczości i dlatego to masy pracujące obu narodów polskiego i niemieckiego podają dziś sobie dłonie.

„Dla narodu polskiego — pisał w swym liście do Prezydenta Wilhelma Piecka Prezydent Bolesław Bierut — „szczególnie cenną i ważną jest świadomość, że Delegacja Rządowa, którą gościliśmy w naszym kraju, reprezentowała przodujące, postępowe siły narodu niemieckiego i jego klasy robotniczej skupione we Froncie Narodowym Demokratycznych Niemiec. Właśnie dzięki wyzwoleniu tych sił potrafiliśmy otworzyć nową, nieznaną dotychczas w historii stosunków polsko - niemieckich kartę.

Wyzwoliło te siły zwycięstwo Związku Radzieckiego nad hitleryzmem, stworzyło warunki dla ich rozwoju i tym samym zbudowało trwałą podstawę nowego, pokojowego i przyjaznego współżycia między naszymi narodami. Wzrost sił i świadomości niemieckiej klasy robotniczej, codzienna walka Socjalistycznej Partii Jedności, na czele wszystkich demokratycznych sił narodu niemieckiego, z szowinizmem, rewizjonizmem, z podżegaczami wojennymi o pokój i demokrację — oto czynniki, które pozwoliły naszym narodom usuwać wiekowy posiew nienawiści, a z granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, uczynić granicę pokoju, sąsiedzkiego współżycia i przyjaźni".

Te same najistotniejsze podstawy przyjaźni polsko - niemieckiej podkreślone zostały i w odpowiedzi Prezydenta Piecka, kiedy pisał, że to porozumienie jest „wyrazem tej nowej, opartej na mocnych podstawach przyjaźni niemiecko - polskiej. Są one przekonywującym dowodem tego, że w wielkim obozie pokoju, na czele którego stoi Związek Radziecki i jego Wielki Wódz Generalissimus Stalin, można kształtować stosunki między narodami w sposób nowy, pokojowy i przyjazny nawet wówczas, gdy były one jątrzone przez moce przeszłości. Widzę w tym rękojmię powodzenia naszej wspólnej walki o pokój i trwałość naszej współpracy".

Pogłębiając przyjaźń polsko - niemiecką nie płyniemy „pod prąd" historii. Wprost przeciwnie. W miarę bowiem nieuchronnego zwycięstwa socjalizmu w coraz to większej liczbie państw, w tym właśnie, a nie innym kierunku zmierzać będzie rozwój stosunków międzynarodowych.

Odwrócić tego procesu, rozwijającego się z dziejową koniecznością, nie zdoła żadna siła na świecie. Wściekłe ataki imperialistów i podżegaczy wojennych mogą ten proces tylko nieco opóźnić, z wielką szkodą dla interesów całej ludzkości, nie mogą go jednak zahamować. Od aktywności zaś mas pracujących na całym świecie zależy przyspieszenie tego procesu i wyprowadzenie całej ludzkości z więzienia kapitalizmu na drogę prowadzącą do stałego pokoju światowego.

Oświadczenie rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zawarte z nim umowy, entuzjazm z jakim te umowy przyjęte zostały przez masy pracujące Niemiec, coraz serdeczniejsze i przyjaźniejsze kontakty polskie z postępową młodzieżą niemiecką z postępowymi pisarzami i artystami Niemiec Ludowych itp. fakty świadczą coraz dobitniej o tym, że „odwieczna zaborczość narodu niemieckiego" była mitem wymyślonym i wpajanym w świadomość obu narodów przez klasę junkrów i kapitalistów niemieckich wspólnie z klasą polskich obszarników i kapitalistów. Ten mit był pomocniczym insrumentem w rzeczywiście zaborczej, ludobójczej i antypolskiej polityce prowadzonej nie przez naród niemiecki, ale przez junkrów i kapitalistów niemieckich, wbrew interesom mas pracujących Niemiec.

Dlatego też po obu stronach granicy, a więc i u nas, zawarciu umów polsko - niemieckich, otwierających nową erę w stosunkach między tymi dwoma narodami, towarzyszyć musi wzmożona walką ideologiczna z tym mitem o „odwiecznej zaborczości narodu niemieckiego" i z wszelkimi przeżytkami nacjonalizmu i kosmopolityzmu, które, mimo, że i u nas i w Niemczech warunki ekonomiczno - społeczne uległy rewolucyjnym przemianom w kierunku socjalizmu, trwają jeszcze siłą bezwładu w świadomości obu narodów, w ich sztuce i literaturze, a nawet w obyczajach. Fakt, że oboz międzynarodowej reakcji dokłada wszelkich wysiłków, aby te zamierające mity i przeżytki ożywić, powinien być dodatkowym bodźcem w tej walce.

Pogłębianie i umacnianie przyjaźni między masami pracującymi Polski Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej leży w interesie obu narodów i jest bardzo ważnym odcinkiem szerokiego frontu walki o zwycięstwo postępu, sprawiedliwości i pokoju na całym świecie.

Stanisław Cieślak

Młoda Orzeszkowa

(dokończenie ze str. 3)

też rodzinę jego ratuje przed rozwodem dobrowolna ofiara arystokratycznej żony, która dużo skorzystała z okresu mieszczańskiej edukacji. Ta optymistyczna „Lalka" à rebours ma także zakończenie, które, by dalej snuć historyczno - literackie paradoksy, narzuca analogie z „Rodziną Połanieckich" Sienkiewicza. „Marynia" Iwicka także wraca do swego majątku rodzinnego, uratowanego przez męża. Spuściznę tradycji ziemiańskiego rodu obejmie pasierbica Marii — młoda mieszczaneczka.

Instalacja rodziny Iwickich w Porzewinie to najwyższe błogosławieństwo udzielone przez pisarkę sojuszowi burżuazyjno - obszarniczemu, który montowała w swych powieściach z lat 1874—76, poprzez gloryfikację sklepu kolonialnego i przymierze obszarnika z pachciarzem. Trzeba przyznać, że nie obyło się to bez ofiar z jej strony. Znamienna jest droga, jaka wiodła od jej najwcześniejszych, pozytywnych bohaterów, apostołów nowego ładu: inżyniera z „Ostatniej miłości", broniącego godności zawodu powoływaniem się na piramidy i „uprzemysłowionego magnata" z „Pamiętnika Wacławy" — do kupca drzewnego Michała Iwickiego, ziewającego na myśl o Schillerze i Beethovenie. Była to niewątpliwie droga kapitulacji wobec prozy mieszczańskiego życia, choć nie towarzyszyło jej oportunistyczne przymknięcie oczu na praktyki kapitalistycznego handlu, jakie cechuje stosunek Sienkiewicza do „Domu handlowo - komisowego Bigiel i Połaniecki".

Właśnie sprawa rodziny mieszczańskiej w „Marii" mimo purytańskiej sytlizacji ukazuje pewne pęknięcia, które pozwolą wytłumaczyć fakt, że w późniejszej epoce, po załamaniu się optymistycznej oceny kapitalizmu, tak bezlitosnej rewizji podda Orzeszkowa cywilizację burżuazyjną.

„Na czym opiera się współczesna rodzina, rodzina burżuazyjna?

Na kapitale, na dorobku prywatnym. Całkowicie rozwinięta, istnieje ona tylko dla burżuazji, ,ale jej uzupełnieniem jest przymusowy brak rodziny u proletariuszy oraz prostytucja publiczna". (Manifest Komunistyczny).

„Całkowicie rozwinięta" rodzina Iwickich przygarnia w „Marii" najemników — ale tej utopii nie zasłoni fakt, że i Maria i Orzeszkowa dostrzegają biografię pracowników „domu" i „przymusowy brak rodziny" na nizinach. A i „dorobek prywatny" Iwickich gra dużą rolę w rozterkach Marii.

„Stanął mi w myśli jeden z łączników, wiążących małżeństwa i rodziny: wspólność interesów.—Tak, idzie ona w parze ze wspólnością uczuć i żadne uniesienie poetyczne, żaden sofizmat namiętności nie zdoła zaprzeczyć jej miejsca wśród różnorodnych obowiązków i solidarności ludzkich!... dezercja moja pozostawia niszczące ślady nie tylko w dziedzinie uczuć, ale echami jej są jeszcze ruina domu i krzywda dzieci".

LATA ROZKWITU I SCHYŁKU

Wszystkie powieści Orzeszkowej ze schyłku lat 70-tych, począwszy od „Marty", stanowią z jednej strony podsumowanie ideologiczne wczesnego okresu jej twórczości i przynoszą niewątpliwie crescendo haseł pojednania ze światem kapitalizmu, z drugiej jednak — pogłębienie obserwacji świata, nasycenie powieściowej tendencji konkretnymi sytuacjami życiowymi ukazuje pęknięcie, zarysowujące gmach kapitalistycznej szczęśliwości społecznej. Rysy bardzo jeszcze nieznaczne — sygnalizowane wewnętrzną niekonsekwencją sytuacji powieściowych lub ich utopijnym charakterem wskazują jednak kierunek, w jakim pójdzie późniejszy rozwój pisarki. Szereg powieści tego czasu jest niewątpliwie próbą generalną późniejszych sformułowań. „Pompalińscy", przy pogłębieniu analizy funkcji społecznych arystokracji — okażą się wprawką do „Pierwotnych", szereg problemów „Elego Makowera" podejmie na płaszczyźnie walki o prawa człowieka „Meir Ezofowicz". „Rodzinę Brochwiczów" traktować można jako szkic do „Nad Niemnem".

W zasadzie jednak następny etap twórczości Orzeszkowej — szczytowy okres jej powieściopisarskiego rozwoju, który obejmie lata 1878—88 i przyniesie najwybitniejsze utwory od „Meira Ezofowicza" po „Nad Niemnem", — nie jest kontynuacją ideologicznych założeń pierwszego dziesięciolecia. Kończy się wówczas guwernerka Orzeszkowej w dziecinnym pokoju polskiej burżuazji. Pisarka przełamuje zaklęte koło spraw dworku i jego mieszczańskiej edukacji.

Dostrzega wówczas życie żydowskiego miasteczka, białoruskiej wsi, miejskich zaułków i drobnoszlacheckich zaścianków. Widzi nędzę i ciemnotę, krzywdę i poniżenie człowieka, rozumie mechanizm wielu zjawisk świata kapitalistycznego. Pojmuje do głębi sprawy prowincjonalnego miasteczka, a i wieś uzyskuje w jej twórczości brakujący dotychczas wymiar spraw chłopskich i czworacznych.

W obronie człowieka cierpiącego nie tylko już wskutek przeżytków starego świata, ale i wskutek drapieżności nowego, napisała wówczas Orzeszkowa swe najpiękniesze książki: „Meir Ezofowicz", „Z różnych sfer", „Niziny", „Dziurdziowie".

Problemy, kształtujące twórczość pierwszego okresu, w dojrzalszej tylko formie artystycznej, wrócą w latach 90-tych, gdy mieszczański realizm krytyczny ulegnie całkowitemu załamaniu.

Maria Żmigrodzka

*) Fragment pracy o wczesnych powieściach Elizy Orzeszkowej, przygotowanej na zlecenie Instytutu Badań Literackich.

Ryszard Przybylski

Powieść o Dekabrystach

1.

Jeśliby Tynianow traktował postać tytułową swej powieści jako pretekst do odsłonięcia prawdy czasów (B. Dudziński, „Czasy i człowiek", „Trybuna Ludu", 19.IV. 1950), to musiałby się pokusić o całkowite i wyczerpujące zobrazowanie takiego zjawiska, jakim w pierwszej połowie zeszłego stulecia była rewolucja dekabrystów. Tynianow niewątpliwie przystąpił do analizy tego zjawiska właśnie w taki sposób. Jak potem zobaczymy — wysiadł na przedostatniej stacji, wyrządzając swej, zresztą świetnej, powieści wielką krzywdę. Zanim jednak zaczniemy autorowi stawiać zarzuty, oddajmy należną sprawiedliwość jego książce, która powstała w r. 1925 i torowała drogi radzieckiej powieści biograficznej, dziś święcącej ogólnoświatowe triumfy.

Epokę oddał znakomicie.

Wielki Hercen tak pisał o latach trzydziestych wieku XIX w Rosji: „Wszędzie rózgi... dworskich sieką w domu, sieką w policji, chłopów siecze pan, siecze karbowy, siecze starosta, ludzie — rzeczy, ludzie — zakłady, sprzedawane rodziny, gwałcone kobiety, żołnierze zabici pałkami". Można to wszystko odnieść do czasów sprzed tragicznego grudnia. Takimi samymi bowiem metodami odpowiedział Arakczejew na wzrost nastrojów rewolucyjnych w społeczeństwie rosyjskim po roku 1820. U Tynianowa oczywiście wszystko to znajdziemy. Gdy Küchelbecker goszcząc w majątku Grzegorza Andrejewicza Glinki wybrał się pewnego razu na przechadzkę, zobaczył, jak sąsiad jego gospodarza za jakieś „przewinienie" oblewał chłopa smołą. Innego dnia karbowy Glinki wymierzał kije staremu chłopu. Wielki książe Konstanty porwał pewną piękną Francuzkę do swego pałacu, zaprosiwszy do siebie uprzednio szwadron oficerów. Kiedy indziej Küchelbecker zemdlał na widok kaźni, jakiej dokonywano publicznie na kilku żołnierzach.

Genealogię ruchu dekabrystów podał Tynianow mistrzowsko. Jakubowicz, przymusowo przeniesiony na Kaukaz, wykrzykuje: „Karbonariusze nie tworzą się sami — tworzy ich cesarz". Naturalnie, ruch wolnościowy nurtował nie tylko wśród najlepszych przedstawicieli inteligencji szlacheckiej, którzy zdawali sobie sprawę z tego, iż feudalny absolutyzm zdusił twórcze siły narodu rosyjskiego i opóźniał normalny ekonomiczny rozwój kraju. Buntowały się także szerokie masy ludowe.

Chłopi ze wsi Glinki wygarniali Küchli gorzką prawdę i słodką nadzieję. Tam też Wilhelm spotkał się z rewolucyjną pieśnią ludową. Pamiętamy, co mówili Miszy Küchelbeckerowi petersburscy marynarze, ta granatowa awangarda każdej rosyjskiej rewolucji. A bunt siemionowskiego pułku?

Środowisko dekabrystów skreślił Tynianow prawdziwie i porywająco. Ich chwiejność i niezdecydowanie ideowe znalazły w powieści artystyczny wyraz i dokumentację. Zwróćmy uwagę na to, jaką postawę wobec rewolucji zajmują — żyjący tylko ze swego pióra szlachecy inteligenci Küchelbecker i Rylejew, jaką — posiadacz ziemski, liberał, M. Turgieniew, a jaką — autor „Biedy z tym rozumem", Gribojedow. Wilhelm pragnie zniesienia pańszczyzny i obalenia samowładztwa, ale właściwie nie bardzo wie, dla kogo się to właściwie robi. Nawet programowa mowa M. Turgieniewa nie trafia do jego uszu. A Turgieniew dość głośno wrzasnął, że w ostateczności i tak „wszystko zależało będzie od szlachty". Rylejew gryzł wargi w bezsilnej złości; Gribojedow, który do dna przewiercił epokę, patrząc na zaciśnięte pięści twórcy „Wojnarowskiego" i słuchając wykładów Mikołaja Turgieniewa o kapitalistycznej Rosji, uśmiechał się tajemniczo. Widząc, jak dym z fajki liberała przysłania całkowicie dopominającego się o prawa mas Kunicyna — parskał cynicznie.

Łączność tych najlepszych przedstawicieli szlachty z masami ludowymi realnie nie istniała. Żołnierze siemionowskiego pułku, chłopi Glinki są podejrzliwi — nie mówią wszystkiego ani Küchli ani Rylejewowi. Nie można było przecież wierzyć dostatnio ubranym szlachcicom. Rylejew w wigilię powstania wycedził: „żadnego ustalonego planu..." Rzeczowy Steingel biadał, że dekabryści nie mają czym działać. Spiskowcy wiedzieli, że są zdradzeni. Mimo to i płomienny Rylejew i zrównoważony Steingel i nic nie wiedzący Küchelbecker wychodzą na Plac Senacki. Wyszła tam zresztą cała szlachetna Rosja, by zginąć, jak ginie przedwcześnie wykwitły pąk od ataków mrozu. Potem przyszedł tragiczny finał. Rylejew skonał na szafocie. Küchelbecker, Puszczin i inni gnili na Syberii.

Tragedia. Pesymistyczna tragedia. Na tym kończy Tynianow analizę ruchu dekabrystów.

Musimy przyznać, że tragizm Küchelbeckera, jak zresztą w ogóle tragizm całego tego pokolenia, skacze nam do gardła. Rewolucyjna młodzież niemiecka liczy na... cara. Tak wyznaje Wilhelmowi młody członek Jugendbundu. Tyle bezsilny ile porywczy Küchla błagą Jermołowa, aby ze swą kaukazką armią szedł na odsiecz krwawiącej Grecji. A Jermołow wiesza i pali walczących o swą wolność czeczeńców. W tragicznym dniu grudnia na Placu Senackim żołnierze nie rozumieją inteligenckich okrzyków na cześć konstytucji. Trzeba im tłumaczyć, że konstytucja... to żona Konstantego. Chłop wierzy święcie, że car chce dobra, że to jeden Arakczejew jest wszystkiemu winien. Był to tragizm rewolucjonistów niezwiązanych z masami ludowymi, w imię których podejmowali walkę.

2.

Tynianow jak wspomniałem, wysiadł na przedostatniej stacji o nazwie tragedia pesymistyczna. Pytamy: jak to się stało? Tynianow zdawał sobie przecież sprawę, że

Aleksander Puszkin

czytelnik od pisarza oczekuje pełnego wizerunku zagadnienia. W ostatnim rozdziale książki do zesłanego na Syberię Küchelbeckera dochodzą wieści, że Puszkina zabito w pojedynku, że Delwig umarł, że... Czytelnikowi ruch rewolucjonistów dekabrystów wydaje się zawieszony w próżni. Czytelnik pyta: jakto? Dlaczego do Küchelbeckera nie doszły wieści, że już w latach trzydziestych Hercen i Bieliński podjęli sztandar dekabrystów? Zresztą, do samego Küchelbeckera wieści te mogły nie dojść. Ale my wiemy, że nie o tę jedną postać w książce chodzi.

Na stacji końcowej wysiadł już przecież kiedyś Lenin. W artykule pod tytułem „Pamięci Hercena" tak omówił on działalność dekabrystów: „Widzimy dokładnie trzy pokolenia rosyjskiej rewolucji: szlachta i posiadacze, dekabryści, Hercen. Wąski był krąg rewolucjonistów. Byli oni bardzo daleko od narodu. Ale sprawa ich nie przepadła. Dekabryści rozbudzili Hercena. Hercen rozprzestrzenił agitację rewolucyjną". Ostatnia stacja, jak widzimy, ukazuje wspaniałe perspektywy rozwoju ruchu rewolucyjnego.

Tynianow ukończył podróż przedwcześnie nie tylko ze zmęczenia. Są przyczyny, które go do tego zmusiły. Leżą one w niezupełnie słusznym sposobie traktowania postaci tytułowej. Mianowicie, uwagę naszą skierowuje autor na przeżycia bohatera, na Küchelbeckera — jednostkę biopsychiczną, usuwając w cień Küchelbeckera pisarza — jednostkę społeczną. Pomaga mu w tym uporczywe bagatelizowanie dorobku twórczego „Küchli". Oto wybrane „ad hoc" dwa momenty tej sprawy.

Żukowski lekceważy sobie i kpi z całej twórczości Wilhelma. Dlaczego Tynianow nie ukazuje nam wyraźnie klasowego źródła tej nienawiści? I dalej: dlaczego Tynianow sugeruje pobłażliwy stosunek Puszkina do twórczości Küchelbeckera? Skądinąd wiemy, że Puszkin wysoko cenił działalność literacką naszego dekabrysty. Słaby poziom artystyczny poezji Küchli nie rozgrzesza Tynianowa w żadnym wypadku, bo poezja nie była jedynym terenem literackiej działalności Wilhelma.

Załamanie się realistycznej linii utworu spowodowane zostało przez psychologiczne przerysowanie portretu literackiego. W konsekwencji, ustrój samowładczy nie tłamsi Küchelbeckera — pisarza, społecznika, postaci prawdziwej historycznie, o której Orłow pisał, że „jest przykładem wielkiego pisarza zniszczonego samodzierżawiem". Caryzm niszczy Küchelbeckera — wyimaginowanego przez Tynianowa, trochę sentymentalnego i trochę postrzelonego nieszczęśliwca, niszczy bogatą psychicznie osobowość. Nie odczuwa się, że ginie walczący pisarz rewolucji.

Pisarza realistę obowiązuje ujmowanie zjawiska według zasad dialektyki. Trzeba mieć szeroko otwarte oczy. Tynianow swej podróży nie przespał. Niewątpliwie, i my za nim dostrzegliśmy wiele rzeczy i spraw przesłoniętych drzewami, które troskliwie posadzili burżuazyjni historycy. Należy więc żałować tylko, że światopogląd nie pozwolił pisarzowi dostrzec wszystkiego tego, co działo się na horyzoncie.

Ryszard Przybylski

*) **Jurij Tynianow, „Küchla". Przełożyła Nadzieja Drucka. Przekład wierszy: Anna Kamieńska i Jan Śpiewak. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949, str. 360.**

Hanna Kirchner

Podróż dyliżansem

W bieżącym miesiącu upływa 80-ta rocznica śmierci Karola Dickensa, wielkiego angielskiego pisarza-realisty. W licznych swych powieściach, nasyconych humorem wysokiej klasy, do dziś żywym wzruszeniem, nienawiścią zła, miłością dla człowieka, odtworzył on życie angielskiej klasy średniej. „W doskonale zarysowanych i wymownych obrazach świata odsłonił więcej prawdy politycznej i społecznej niż wszyscy zawodowi politycy, publicyści i moraliści razem wzięci" (Karol Marks „Angielska klasa średnia").

W Polsce Ludowej dzieła wielkich mieszczańskich realistów, którzy nie odwracali się od życia, ale szli krok w krok za nim i starali się głęboko zrozumieć opisywaną rzeczywistość, przeżywają szczególny renesans.

Najpopularniejszą książką Dickensa był zawsze obok „Dawida Copperfielda" ulubiony przez młodych i starych „Klub Pickwicka". Kochano tę książkę i kochać się ją będzie zawsze za wspaniały, dobroduszny dickensowski humor, jakim jest przepojona. Burżuazyjni badacze literatury chcieli jednak widzieć w „Klubie Pickiwcka" wyłącznie beztroską humoreskę, igraszkę wrodzonego dowcipu pisarza. Dzisiaj nasz doświadczony czytelnik dojrzy więcej spraw w tej książce. Poza arcydziełem humoru, odkryje szerokie perspektywy bystro patrzącego na świat realisty.

„Klub Pickwicka" — pierwsze wielkie dzieło młodego Dickensa — powstał w roku 1836 w sposób dość oryginalny. Firma wydawnicza Chapman and Hall poleciła sławnemu karykaturzyście Seymour'owi wykonanie serii obrazków, przedstawiających klub amatorów-sportowców, skazanych na wieczne niepowodzenia. Seymour w miesiąc później popełnił samobójstwo; ilustracje wykonał ostatecznie Hablot Brown (tzw. „Phiz"). Proszony o napisanie tekstu do ilustracji powieściopisarz Whitehead polecił początkującego Dickensa. Dickens cały plan zgrabnie przekształcił. Zatrzymał pomysł klubu, lecz zmienił jego charakter, a całą powieść osnuł na tle perypetii czterech członków tegoż klubu. Stanowią oni „komitet korespondencyjny", który zobowiązał się przysyłać sprawozdania donoszące o spostrzeżeniach i przygodach.

Pomysł podróży dyliżansem dał Dickensowi możność ukazania szerokiej i barwnej panoramy postaci i sytuacji społecznych. Dickens stanął jednak w tej powieści na pozycjach nie tyle łagodnego malarza obyczajów, ile przede wszystkim drapieżnego lecz dobrze zakonspirowanego satyryka. Ze złośliwą satysfakcją — pozornie utwierdzając czytelników w mniemaniu, jakie bohaterzy mają sami o sobie — zdemaskował fałszywe pozory. Przedmiotem zjadliwej satyry stały się grzechy główne: snobizm, obłuda i zarozumialstwo. Pan Pickwick i jego przyjaciele — mimo dobrodusznych zastrzeżeń Dickensa — stanowią galerię sybarytów, próżniaków, głupkowatych, snobistycznych pozerów. Prezes klubu pan Pickwick, to stary, śmieszny tłuścioch, przede wszystkim dwuznaczny moralnie, podobnie zresztą jak i jego towarzysze. W świetle głębokiej ironii prezentuje Dickens posiedzenia klubu Pickwicka, z ambicjami — pożal się Boże — intelektualnymi. Doniosłe odkrycia, dotyczące teorii skoku żab w stawach hampstendzkich czy znalezienie starożytnego kamienia, doprowadzające do stanu wrzenia cały świat naukowy z udziałem akademii zagranicznych — oto obraz karykaturalnego życia naukowego w ramach ustroju kapitalistycznego. Równie rzekome i oparte na bluffie są osiągnięcia poetyckie pana Snodgrassa; podobnie rzecz się ma z wyczynami sportowymi Nataniela Winkle.

W trakcie pouczającej podruży dyliżansem Dickens konfrontuje te okazy snobizmu z rozległą galerią typów społecznych. Najliczniej reprezentowane jest drobnomieszczaństwo, poczynając od najwyżej stojących jego przedstawicieli poprzez dependentów, panie Bardell, Cluppins i Sanders, aż do drobnomieszczańskich lumpów w rodzaju Sama i jego kolegów — służących. Na kartach powieści pojawiają się także przedstawiciele arystokracji. Do tych Dickens ma niezmiennie ironiczny stosunek. Najchętniej obnaża ich snobizm i kastową wyniosłość, a czasem wręcz maluje ich — jak np. młodego lorda Mutonhead z balu w Bath — jako półgłówków i zdegenerowanych kretynów.

Ale pan Werdle, właściciel ziemski, cieszy się pełną sympatią Dickensa. Majątek starego gentlemana nie jest wielką posiadłością landlorda; kontakty towarzyskie pana Werdle ograniczają się do środowiska mieszczańskiego. Opis uroków wiejskiego życia w starym dworze jest jedną z niewielu partii książki pozbawionych zupełnie kpiącej ironii. Autor z głębokim rozczuleniem unosi się nad zdrową i szczęśliwą atmosferą, panującą w tym domu, który uważa za twierdzę angielskości, starych, dobrych cnót i obyczajów. Kominek — cicha przystań rodzinnego szczęścia, patriarchalna struktura życia domowego, „niewinne zabawy", w istocie dość płaskie, bezmyślne i niewybredne — oto okazja do pełnego sentymentu uśmiechu wzruszenia.

Pan Pickwick i jego towarzysze żyją z zasobnej renty. Ale pan Pickwick jest nie tylko rentierem. W równej mierze autor kreuje go na „urzędową trąbę" drobnomieszczaństwa, aczkolwiek „anioł w kamaszach" spełnia tę rolę znacznie dyskretniej niż redaktor Pott swoją funkcję na balu pani Hunter. „Klub Pickwicka" jest powieścią o „trzecim stanie". Przedstawiciele ziemiaństwa i burżuazji grawitują tutaj ku drobnomieszczaństwu, a stosunki między ludźmi i konstrukcje ich losów zarysowane są z perspektywy drobnomieszczańskiej wiedzy o świecie. Przy tym większość książki wypełnia wnikliwe studium tej właśnie klasy społecznej — inne, znajdujące się poza zasięgiem doświadczeń życiowych drobnomieszczanina, ukazane są tylko migawkowo.

Dickens nie ogranicza się wyłącznie do obserwacji obyczajowych. Szlaki dyliżansowych podróży pana Pickwicka biegną przecież poprzez obszar kapitalistycznej dżungli. Jedna z tych poniżających podróży daje panu Pickwickowi i jego towarzyszom możność uczestniczenia w wyborach w miasteczku Eatanswill i obserwowania zajadłej walki dwóch błazeńskich stronnictw: niebieskiego i żółtego. Pan Pickwick jest bezstronny — przecież w gruncie rzeczy obie zaciekle zwalczające się partie były dwiema frakcjami tej samej burżuazji. Nie dziwi nas tu zupełnie stoicyzm pana Pickwicka.

Wybory w Eatanswill to jeden fragment kapitalistycznej rzeczywistości. Dalsze przygody pana Pickwicka pozwalają autorowi na ukazanie innej jeszcze strony tego drapieżnego świata. Dickens otwiera kolejno drzwi do ciemnych, zatęchłych kancelarii adwokackich, do wilgotnych piwnic więzienia za długi; każe nam obserwować tragikomiczne sceny na sali rozpraw sądowych.

Więzienie za długi, podstępy prawników, lotrostwa pana Jingle, walka wyborcza, ponury obraz stosunków w prasie burżuazyjnej, to sprawy mieszczące się w głównym nurcie powieści. Ale są i takie o których Dickens wspomina od niechcenia, wzmiankując na peryferiach jakiejś anegdoty. Na przykład: „Muggleton jest miastem starożytnym i lojalnym, łączącym gorliwość dla zasad chrystianizmu ze stałym przywiązaniem do ustaw handlowych. Na dowód tego burmistrz, rada miejska i inni mieszkańcy w rozmaitych czasach przedstawili 68 petycji o zezwolenie na sprzedaż beneficjów kościelnych, 86 petycji o wzbronienie sprzedaży ulicznej w dniu niedzielnym, 142 petycje o zniesienie handlu niewolnikami w Ameryce i takąż samą ilość petycji przeciw wszelkiemu mieszaniu się prawodawstwa do sprawy przeciążania dzieci pracą w fabrykach angielskich". Owe dzieci, często nawet czteroletnie, pracowały wówczas szesnaście do osiemnastu godzin dziennie w warunkach dla dorosłego człowieka zabójczych. Dopiero długotrwała akcja klasy robotniczej wymusiła od rządu ustawy o skróceniu dnia pracy, o podwyżce płac, poprawie warunków i zniesieniu pracy nieletnich.

Pewnego razu pan Pickwick, będąc w gościenie u pana Wardle, asystował przy polowaniu na wrony: „Stary gentleman dał znak i dwóch obdartych chłopaków zaczęło zwolna gramolić się na drzewo. Po co te dzieci? — spytał nagle pan Pickwick. Dobre jego serce opanowała trwoga; słyszał bowiem o nędzy wieśniaków i niedaleki był od przypuszczenia, że właśnie nędza zmusiła te biedne dzieci służyć za cel dla strzałów, aby w ten sposób zarobić na kawałek chleba dla rodziców".

Ale Dickensa interesowały inne sprawy. Wróćmy zatem do głównych konfliktów, do głównych postaci powieści. Pierwsze rozdziały książki. Oto pan Pickwick — śmieszny, stary niedołęga, nad którego wątpliwymi cnotami skłonni jesteśmy kręcić głową. Jednakże ta koncepcja postaci pana Pickwicka bardzo szybko się załamuje. Już w połowie pierwszego tomu pan Pickwick ulega w naszych oczach gwałtownej przemianie. Staje się to z chwilą, gdy filozof przestaje być tylko biernym spektatorem. Stary próżniak wysiada z dyliżansu, wplątuje się w pościg za panem Jingle i w momencie, gdy zaczyna brać udział w dramacie pt. „Kapitalistyczna rzeczywistość", urasta do roli bohatera. Mądry sługa, Sam Weller, zaczyna sygnować z życzliwością postępki swego pana — Pickwickowi wyrastają anielskie skrzydła i blask aureoli zaczyna promieniować z łysej głowy.

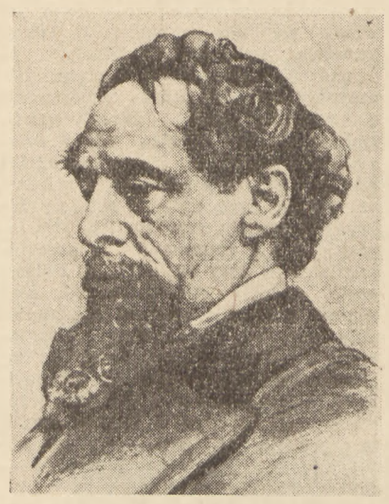

Karol Dickens

Zacny filozof jest rentierem. Jest to najmniej rażąca forma kapitału, jedna z najbardziej pośrednich. Ale pan Pickwick jest tylko pozornie „łagodnym" kapitalistą. Jego kantor handlowy jest ogniwem pośrednim między kapitałem przemysłowym a jakąś Kompanią Wschodnio-Indyjską i stanowi poważną pozycję w walce o zdobywanie baz dla imperializmu angielskiego w dalekich koloniach. Tego to przedstawiciela kapitalistycznego społeczeństwa pasuje Dickens na obrońcę uciemiężonych. Don Kichot był romantycznym, błędnym rycerzem, który wybrał się na swej Rosynancie walczyć w obronie uciśnionych. Błędny rycerz drobnomieszczaństwa w epoce kapitalizmu, pan Pickwick jeździ dyliżansem, nosi okulary i jest po prostu korpulentnym kupcem, ale również walczy z wiatrakami. Dobrotliwy „gubernator" popada w kolizję z aferzystami, uosabiającymi skostniały, bezduszny rutynizm burżuazyjnego systemu prawnego. Nie jest to przecież konflikt najbardziej typowy, najbardziej istotny, podstawowy dla ustroju. Wiatraki były urojonym przeciwnikiem, prawdziwy wróg krył się gdzie indziej, ale przed nim kryła pana Pickwicka niezawodna tarcza — renta.

Magnat kolejowy jako patentowany zderzak bezpieczeństwa. Satyryczny rysunek angielski z 1845 r.

Pan Jingle, bezczelny łotrzyk, który wciąż wyprowadza w pole zacnego Pickwicka, w pierwszych partiach powieści, gdzie jeszcze mocno powątpiewamy w moralne wartości pickwickistów, różni się od nich niewiele. Głównie tym, że nie ma pieniędzy. Wpada w nieszczęścia — z powieści wynikałoby, że to niecne życie prowadzi go do więzienia za długi — ale pomocna dłoń pana Pickwicka pomaga mu stać się znowu godnym członkiem społeczeństwa. Zwycięża filantropia i potęga gołębiego serca. „W każdym razie, kochany panie — mówi pan Parker — pański czyn przynosi panu zaszczyt, bez względu na skutek, jaki przyniesie. Czy ten rodzaj uczynności tak dalekowzroczny i wspaniałomyślny, że aż rzadko stosowany, może być nazwany prawdziwym miłosierdziem, czy omamieniem siebie samego — pozostawiam do rozstrzygnięcia mądrzejszym ode mnie. Ale nawet gdyby te dwa draby zaraz jutro dokonały napadu bandyckiego, sąd mój o pańskim czynie nie zmieni się przez to". Oto jest najistotniejsza wartość, jaką Dickens przekazuje czytelnikowi, pozostawiając zarazem, w całej mocy poprzednio zastrzeżenia pana Parkera.

Lata 1825 — 1840 są w Anglii latami coraz intensywniejszego wypierania drobnego warsztatu przez wielki przemysł. „Uciekłszy ze wsi — opowiada Sam swemu panu — zanim wstąpiłem do furmana, przez parę tygodni sypiałem w niemeblowanym apartamencie — pod arkadami mostu Waterloo. Dziwne tam widziałem rzeczy. Rzeczy, które by przestyły czułe serce pana i wyszły drugą stroną. Nie znajdzie pan tam żebraków z zawodu — ci umieją sobie radzić — a tylko młodych nędzarzy mężczyzn i kobiety, dopiero początkujących; w ogóle są to biedacy bez przytułku, zmęczeni, umierający z głodu, tarzający się z bólu po kątach tego smutnego miejsca". Oto istotny, ukryty konflikt „Klubu Pickwicka". Pomiędzy wesołe karty z historią zabawnych przygód tłustego staruszka wtargnęła ponura rzeczywistość kapitalistycznego świata. Spoza okrągłej, uśmiechniętej twarzy Pickwicka wychyla się raz po raz bolesne oblicze wiśnia kanclerstwa, mającą długie szeregi nędzarzy, wynurzających się z kręgów drobnomieszczańskiego piekła — więzienia za długi.

„Klub Pickwicka" to powieść o drobnomieszczaństwie. Całe życie i twórczość Karola Dickensa są zwierciadłem położenia i przemian tej szczególnej klasy społecznej, „klasy przejściowej, w której stępiają się wzajemne interesy dwóch klas (burżuazji i proletariatu)" (Karol Marks — „18 Brumaire'a"). Drobnomieszczaństwo z racji swej pośredniej pozycji „chwieje się i waha, dzisiaj idzie za proletariatem, nazajutrz lęka się trudności przewrotu, ulega panice, przy pierwszej porażce, lub częściowej porażce robotników, denerwuje się, miota, biada, przerzuca się z obozu do obozu" (Lenin).

Dickens w „Klubie Pickwicka" należy jeszcze do tych ideologów drobnomieszczaństwa, którzy, nie dostrzegając zasadniczego konfliktu epoki kapitalizmu — sprzeczności między społecznym charakterem produkcji a indywidualnym sposobem przywłaszczania — walczą z rażącymi nadużyciami ustroju, z jego wtórnym odbiciem w dziedzinie obyczajowości, pragną sharmonizować pracę najemną i kapitał. Zwalczali oni takie wrzody na organizmie kapitalistycznego społeczeństwa, jak więzienie za długi, zły system prawny, pracę dzieci, korupcję itd. Te bowiem przejawy najdotkliwiej uderzały drobnomieszczanina, sądził on zatem, że w nich kryje się główne źródło jego złej sytuacji życiowej.

Karol Dickens dostrzegał jasno nędzę swej klasy, nie zamykał oczu na współczesną rzeczywistość. Był przerażony i wzruszony jej ponurym obrazem — stąd nienawiść z jaką uderza w to, co wydaje mu się tego stanu rzeczy przyczyną, stąd głęboki humanizm jego utworów, przepełnionych miłością dla wszystkich skrzywdzonych poniżonych.

W opowieści „Dziwny klient" człowiek wtrącony do więzienia za długi, w którym ginie mu z nędzy żona i dziecko, mści się na ojcu żony, sądząc, że on był jedynym sprawcą jego nieszczęść. W „Klubie Pickwicka" tylko taka pojawia się reakcja na postępujące sproletaryzowanie drobnomieszczaństwa. Dickens nie umie jeszcze rozszyfrować rzeczywistości, cofa się przed wyciągnięciem ostatecznych wniosków z dokonanych spostrzeżeń. Stąd tchórzliwa koncepcja powrotu do patriarchalnych stosunków (Sam — pan Pickwick; dom pana Wardle), stąd apoteoza „czułego serca". Wraca mit „wesołej, starej Anglii oberż i dyliżansów, gdzie wszystkie przygody kończą się dobrze, zło zostaje ukarane, a dobro zwycięża".

Pan Pickwick wychodzi z więzienia za długi i czym prędzej o nim zapomina: wszystkie kłopoty miłosne jego przyjaciół kończą się pomyślnym małżeństwem, a czcigodny prezes klubu rentierów dożywa swoich dni w szczęściu i spokoju. Powtarza się model dworu pana Wardle.

Tylko panowie Dodson i Fogg robią dalej swoje. Jedyna nadzieja, że „im więcej zarobią w ten sposób, tym więcej będą chcieli zarabiać i wskutek tego wplączą się z czasem w jakieś łajdactwo i zginą". Na razie wszystko dzieje się po staremu. Może to wina ich nikczemnego charakteru, może złego systemu prawnego, a może ten system wynikał...

Ale nie wymagajmy zbyt wiele od zacnego pana Dickensa.

Hanna Kirchner

SPROSTOWANIE

W artykule Józefa Kelery „Droga Jorge Amado" („Wieś" nr 24) wkradły się następujące błędy zniekształcające sens zdań: w szpalcie czwartej, wiersz ostatni — zamiast „imperializm" winno być **„imperializmu"**; w szpalcie piątej — wiersz ósmy i dziewiąty od dołu — zamiast „Komunistycznej Brazylii" winno być „Komunistycznej Partii Brazylii".

Ponadto w przypisie nie podano nazwiska Janiny Wrzos, tłumaczki „Ziemi krwi i przemocy".

JAN MARSZAŁEK

MARNUJĄ SIĘ KADRY

Leży przede mną 28 wypowiedzi uczniów ostatniej klasy szkoły podstawowej w pewnej wsi powiatu sieradzkiego na temat „kim pragnę zostać". Dosyć wymowna to ilustracja bezradności i upartego trzymania się tradycyjnych wzorów „Wychodzenia na ludzi".

Młodzież to już w większości z poza wieku szkolnego. Szesnasto — siedemnastoletni—a nawet troje osiemnastoletnich. We właściwym wieku (rocznik 1935 i 1936) tylko dziesięcioro.

Jakież ideały życiowe przyświecają tej młodzieży?

Stosunkowo dużo, bo aż jedenaścioro (6 chłopców i 5 dziewcząt) pragnie zostać nauczycielami, dziesięcioro nie idzie do żadnej szkoły, lecz pozostaje w domu na gospodarstwie, trzech starszych idzie do Zakładu Doskonalenia Rzemiosł na ślusarzy. Na ślusarzy również pragnie wyjść trzech innych chłopców, którzy idą do Liceum Mechanicznego w Łodzi. Jedna z dziewcząt zamierza zostać krawcową.

Są to tradycyjne drogi „wychodzenia na ludzi". Z punktu widzenia interesów państwa ludowego rozbudowującego w planie sześcioletnim szkolnictwo, najbardziej pocieszający byłby fakt, że na 28 absolwentów, aż 11 zamierza wstąpić do zawodu nauczycielskiego. Zaplanowane bowiem w tym okresie podniesienie dobrobytu i kultury mas pracujących wymaga między innymi poważnego zwiększenia kadr nauczycielskich. Fakt ten jednak znacznie bardziej byłby pocieszający, gdyby z jednej strony — do zawodu nauczycielskiego szedł z tej szkoły element bliski budownictwu socjalizmu, a więc gdyby to były córki i synowie robotników PGR-u, bezrolnych, czy małorolnych chłopów, z drugiej strony, gdyby to był element przynajmniej w tej szkole wyróżniający się tak pod względem wyrobienia ideowego jak i poziomu umysłowego. Tymczasem większość tym warunkom nie odpowiada, liczyć się należy z tym, że zaledwie pięcioro z tej grupy zostanie przyjętych do Liceum Pedagogicznego. Dwóch chłopców choć klasowo jest odpowiednich, jeden bowiem jest synem 2 hektarowej wdowy, drugi synem dzierżawcy 2 i pół ha lichej ziemi, obarczonego pięcioosobową rodziną, jednak ich słaby poziom wiedzy jak na absolwentów szkoły podstawowej, będzie z pewnością przeszkodą w przyjęciu do Liceum. Również z pięciu dziewcząt tylko jedna córka pracownika PKP (nastawniczy) wyróżnia się swym poziomem umysłowym i wyrobieniem ideowym. Pozostałe cztery to element również słaby społecznie, rekrutujący się z zamożnych średniaków.

Jednakże sam fakt zgłoszenia chęci wstąpienia do zawodu nauczycielskiego tak pokaźnej liczby kandydatów jest w zestawieniu raczej świadectwem upartego trzymania się tradycyjnych dróg „wychodzenia na ludzi". Na księdza lub nauczyciela kształcili się dotychczas ci, którym surowy dla większości dzieci wiejskich los zezwolił na dalszą naukę. To była najczęstsza droga wiodąca wybrańców do poprawy bytu. Tą drogą chłopiec, lub dziewczyna wiejska mogła dostać się w sferę inteligencji, w sferę panów. To jest też droga, której wieś już doświadczyła, zna ją i ufa jej. Zaufaniem do tej drogi tłumaczyć można tę pokaźną liczbę zgłoszeń do zawodu nauczycielskiego.

Jedyna spośród jedenastu dziewcząt, zamierzająca zostać krawcową to również klasyczny przykład wychodzenia dziewczyny wiejskiej ze wsi. Córka kowala obarczonego 7-o osobową rodziną, właściciela 1 i pół ha gospodarstwa tą drogą zamierza zdobyć sobie samodzielność i wyrwać się z wiecznego niedostatku swej rodziny.

Sześciu chłopców zamierza zdobyć zawód ślusarza. Nie jest to jednak grupa jednolita. Dwóch z nich zdołało sobie zapewnić przyjęcie do Państwowych Zakładów Doskonalenia Rzemiosł, gdzie zdobędą nie tylko kwalifikacje zawodowe, ale już w szkole zarabiać będą na siebie. Jeden z nich to syn wójta, aktywisty terenowego PZPR, drugi to syn pracownika PKP. Trzeci z tej grupy, wyrobiony umysłowo i ideologicznie członek SP i ZMP, syn 6-hektarowego gospodarza z powodu swego wieku (nie ukończył jeszcze 16 roku) nie został przyjęty do wspomnianych Zakładów i jeżeli po wakacjach nie zostanie przyjęty na kurs rysunku technicznego, organizowany również przy Zakładzie Doskonalenia Rzemiosł w Łodzi zmuszony będzie zrezygnować z dalszej nauki albo zaczekać do czasu ukończenia przynajmniej 17-tego roku życia.

Pozostałych trzech z tej „grupy ślusarzy" poszło drogą dla nich najłatwiejszą, niedostępną jednak wspomnianemu przed chwilą zetempowcowi. W przeciwieństwie bowiem do tamtego to wszystko synowie bogatszych chłopów posiadających od 8—13 ha, po dwa konie, 3 lub 4 krowy. Ci nie obawiają się nawet egzaminów, które dla kandydatów na nauczycieli stanowią poważny problem. Idą oni bowiem do Liceum Mechanicznego w Łodzi, prowadzonego przez Salezjanów, gdzie wysokie opłaty za naukę i internat odstraszają wielu pragnących się uczyć i gdzie z powodu małej liczby kandydatów dostać się jest łatwo nawet słabszym uczniom.

Reszta — to znaczy dziesięcioro pozostałych kończy swą naukę ostatecznie mimo, że większość w tej grupie to uczniowie zdolni i o stosunkowo dużym wyrobieniu umysłowym. Fakt zasługujący na uwagę, że najzdolniejsza w tej grupie piętnastoletnia Krysia stwierdza kategorycznie, że nie chce się dalej uczyć. Istnieją jednak poważne podejrzenia, że na tę decyzję wpłynęli rodzice. Jeśli chodzi o skład społeczny tej grupy to nadmienić trzeba, że tylko jeden pochodzi z gospodarstwa 14-hektarowego, reszta to synowie i córki małorolnych (2—5 ha).

Jakie wnioski wysnuć można z przytoczonych wyżej przykładów?

Przede wszystkim ten, że ideały życiowe wspomnianej młodzieży potwierdzają wysuniętą na wstępie sugestię, że żyje ona nadal w kręgu tradycji, że nie podbił jej jeszcze rozmach Planu 6-letniego, że nie dowierza jeszcze „nowemu", że brak jej szerszej perspektywy. Brak jej wiary we własne siły i w pomoc państwa ludowego. „Ideały" te świadczą wymownie i o tym, jak szczupły jest tu zakres wiadomości o możliwościach zarobkowania. Dziewczęta nie wiedzą nic o dziesiątkach zawodów, które są udziałem kobiety w mieście. Nie wiedzą, że na ich ręce czekają zakłady fabryczne, urzędy, szpitale itp. Nie lepiej jest i z chłopcami. A przecież młodzież ta uczy się nauki o Polsce, czyta gazety. Niema wśród niej nikogo u kogo w domu nie znaleźlibyśmy — „Gromady", „Przyjaciółki", „Rolnika Polskiego" czy „Zielonego Sztandaru". W pismach tych zapoznają się z treścią przemian zachodzących w Polsce, szkoła interpretuje te przemiany zgodnie z [illegible] ludowego — mimo to wpływ wychowawczy tradycyjnego, konserwatywnego domu oddziaływuje silniej. Dlatego też na przykład ogłoszenia o Szkołach Przysposobienia Przemysłowego nie chwytały nikogo.

— To trzeba mieć zdrowie — wymawiają się chłopcy.

Nie odpowiada im ani zawód górnika, ani marynarza, ani elektrotechnika, czy chemika tak samo jak i dla dziewcząt nieatrakcyjny wydaje się zawód pielęgniarki, czy przedszkolanki, ,nie mówiąc już o pracach tradycyjnie uważanych za odpowiedniejsze dla mężczyzn. Co ciekawsze, wśród tej młodzieży nikt nie marzy o zawodzie lekarza weterynarii, agronoma, traktorzysty, czy technika rolnego.

Co jest przyczyną takiego stanu rzeczy? Przyczyn jest, jak zwykle wiele. Wymienić by tu można między innymi — małe wyrobienie polityczne środowiska (członków partii politycznych policzyćby tu można na palcach), brak częstszych kontaktów z miastem, słaba świadomość klasowa tutejszych chłopów mało i średniorolnych (działalność miejscowego koła ZSCh równa zeru). Jednak za najważniejszą przyczynę należy uważać systemy polityczno-społeczne przeszłości, które kształtowały psychikę chłopa do ostatnich niemal czasów. Systemy, które kształtowały tę psychikę w poczuciu niższości wobec innych klas społecznych, które wyrabiały w chłopie niewiarę w skuteczność poprawy bytu, obojętność na nowe hasła i zasklepianie się w kręgu parafii, w kręgu spraw znanych i uświęconych tradycją. Niewątpliwie już dziś obserwujemy tu i ówdzie poprawę w tej dziedzinie. Jest to jednak proces powolny, narastający latami. Zadaniem nas wszystkich — nauczycieli, polityków, pisarzy, społeczników jest ten proces przyśpieszyć. Nie dokonamy tego, nie zdając sobie w pełni sprawy z istniejących w tej dziedzinie zadań do spełnienia. Dlatego też wyciągać te sprawy na światło dzienne omawiać je, dyskutować, radzić to społeczny obowiązek każdego, komu dobro wsi, dobro kraju naszego leży na sercu.

Jan Marszałek

Nie tradycja — ale wróg

(W odpowiedzi J. Marszałkowi)

Źle jest z młodzieżą, kończącą 7 oddział we wsi, którą nam przedstawił nauczyciel i poeta Jan Marszałek. Jedna trzecia najzdolniejszych i najbiedniejszych nie pójdzie do szkół zawodowych, przede wszystkim dlatego, że nie chce. Dwie trzecie obrało zawody tradycyjne i nieliczne: nauczyciel, ślusarz, krawcowa. Obraz rzeczywiście wyjątkowy. Osobliwość jego pogłębiają informacje o wsi, jakie podaje Marszałek.

Jeśli członków partii politycznych można policzyć na palcach, jeśli koło ZSCh jest martwe, to dlaczego w każdym domu prenumeruje się pisma (Gromada! Zielony Sztandar!)? Jeśli pismo w każdym domu — dlaczego słabe życie polityczne i samopomocowe? Dlaczego rodziny (oświecone, zorientowane) nie pchają dzieci do szkół zawodowych? Dlaczego wychowanie i dorady nauczycielstwa idą z dymem?

Marszałek w ostatniej instancji podaje za przyczyny: konserwatyzm, tradycję. „Minione systemy, które kształtowały psychikę chłopską". W ustroju kapitalistycznym mniej akcentuje klasowe odcięcie chłopstwa od szkół wyższych, bardziej natomiast przystosowanie się i nawyknięcie chłopstwa do braku oświaty. Konserwatyzm w stosunku do takiej tradycji miałby w jego wsi zatrzymywać, młodzież przed wyborem wielu rodzajów zawodów produkcyjnych, miałby skłaniać ją do rezygnowania z szansy nauki w bezpłatnych szkołach i internatach.

Wierzymy w szczery wysiłek autora w poszukiwaniu przyczyn. Ale przecież wyjaśnienie z gruntu jest błędne. Przed takim rozumowaniem pragniemy przestrzec innych nauczycieli i działaczy.

Konserwatyzm to nie automatyzm! nie można o nim mówić jak o zjawisku izolowanym. Przeciwnie, zawsze w stosunku do jego przeciwieństwa. I zawsze trzeba widzieć, że powstaje, rośnie i wzmaga się w walce z nowym i w stosunku do nowego. To co Marszałek ma w polu swego widzenia, to nie wegetowanie tradycji a walka o utrzymanie w tradycyjnym odcięciu od nowych szkół i nowych społecznych przemian.

Krótko mówiąc, na tej wsi działa agresywnie wróg klasowy! On ma tu przewagę. Przy kilku członkach partii, przy słabym kole ZSCh, nie wiemy, czy jest koło ZMP, jeśli zaś jest, brak mu dynamiki. To widać wyraźnie. Bo jeśli czyta się pisma, szkoła objaśnia, SPP nadesłało ogłoszenie i informatora o „stu zawodach", gdzie jak nie w kole ZMP powinien trysnąć strumień urzekającej młodzież agitacji? Siły rewolucji na tej wsi są słabe, politycznie naiwne. Widać to w szkole, u nauczycielstwa, które wyjaśnia sobie smutne wyniki „socjologicznie" zamiast dialektycznie. Widzi automatyzm tradycji, gdy trzeba widzieć wroga i jego aktualną robotę dywersyjną. Ani mu to do głowy nie przyjdzie. A ślady w sprawozdaniu są. Najzdolniejsza dziewczyna nie chce iść do szkół, bo jej zakazali rodzice. Na ogłoszenie SPP chłopcy odpowiadają: „potrzeba mieć zdrowie". Kto im na tej katarynce zagrał? Kto ją puścił w ruch? Pielęgniarka, przedszkolanka, weterynarz, agronom, traktorzysta to zawody nie atrakcyjne. Jakież na tej wsi ścierają się poglądy na spółdzielczość produkcyjną? Kto tu tarasuje przemyślnie drogę do niej. Bo tarasuje, kiedy ze wsi nie wyjdzie pielęgniarka, przedszkolanka, agronom, traktorzysta. To nie jest robota? To jest „sztabowa robota!". Jak rozumieć czytelnictwo gazet (i to „Gromady" i t „Zielonego Sztandaru")? Część czytelników zagląda co w trawie piszczy i jest przygotowana do kontragitacji. Tak? Innym czytelnikom odbiera się wiarę w to, co czytają. To nie robota? „A parafialne" wpływy działają? Jeśli działają to przecież przy pomocy arsenału nowych środków.

Dwa miesiące temu Czwarte Plenu Partii postawiło sprawę kadr. Dla nauczycielstwa był to sygnał do mobilizacji. Wykorzystać ostatnie szkolne miesiące. Pozyskać siódmą klasę, jak w szkołach podstawowych, w szczególności na wsi, do najbardziej celowych i hierarchicznie ważnych w Planie Sześcioletnim zawodów. To od nauczycielstwa winna wyjść inicjatywa i wezwanie o pomoc do kół partii, ZSCH, Ligi Kobiet, ZMP, Komitetów Rodzicielskich itd. I należało pamiętać, że czeka nie tylko „sielanka objaśnień" ale czeka również walka z wrogiem. Że wróg uderzy w hasło Czwartego Plenum. I jak na wsi J. Marszałka uderzył mocno. On „expressem" dotarł do oddalonej od miasta wsi. Tam mu zawsze najbliżej, a jeszcze gdy organizacje słabe...

Plon, który ze zdumieniem zebrał Marszałek, to nie martwy konserwatyzm, to mobilizacja wroga przeciw akcji kadrowej, przeciw wzmocnieniu ramienia mas pracujących dla rozwoju sił wytwórczych, oto co!

Czy to wyraz „konserwatyzmu" ów zwrot powtarzany przez chłopców (po kim?!) „To trzeba mieć zdrowie"? Na górnika, elektryka, chemika, mechanika trzeba mieć zdrowie. A na ziemię w gospodarce prywatnej nie trzeba mieć zdrowia? Oto rąbek, odsłaniający krecią robotę. Bo tajemnicą pozostały dla Marszałka najbardziej fantastyczne wymysły, jako przesłanki dla wniosku „to trzeba mieć zdrowie". A musiano je szerzyć żeby przestraszyć pracą i trudem chłopów, którzy stoją na dnie nieludzkiego trudu.

W artykule Marszałka przewija się sporo średniaków. Na tę to, wakającą się a w tej wsi nie zorganizowaną klasę oddziałała wroga agitacja. Małorolni z kolei ulegli atmosferze średniaków. Oto fala szturmu wroga i jej plon w tegorocznym „wylocie" siedmioklasistów ze wsi, w której uczy Jan Marszałek. Przegraliście Kolego! Ale nie z konserwatyzmem, nie z „tradycją". A ze szczwanym wrogiem klasowym. On o Was wie, a Wy o nim nie. On się po was przejechał w momencie decydującym, a wyście ten moment przespali. Od dwóch miesięcy nie byliście zmobilizowani na nową i zapowiadającą się wyraźnie po IV Plenum, potyczkę z wrogiem klasowym. Nie byliście czujni politycznie. Właśnie jako nauczyciel, który swego dzieła pod koniec winien bronić najzażarciej, winien je ubezpieczyć najtroskliwiej.

Zapomnieliście o tym, że nauczyciel, nauczając — walczy! I wyniki swe winien mierzyć zwycięstwami nad wrogiem i przegranymi z nim.

Te wyjaśnienia traktujemy jako konferencję z kol. Marszałkiem i z innymi nauczycielami. Trzeba je odbywać jak najczęściej. Pogłębimy przez nie czujność polityczną i umiejętność walki z wrogiem. Nie pozwolimy mu kpić z naszych wysiłków i poświęcenia. Nie pozwolimy, aby wydzierano nam owoce naszej pracy i barbarzyńsko je niszczono.

Prosimy i Kol. Marszałka i wszystkich walczących o Polskę Ludową nauczycieli: przedstawcie taktykę wroga w jego ataku na szkołę, na młodzież małorolną, na kadry w Waszych Wsiach i Waszą walkę nauczycielską o Polskę Ludową.

Piotr Chmura

FAKTY I ZDANIA

I pisarz i działacz

Czy można postawić zagadnienie w ten sposób: chodzi nam — pisarzom o zobaczenie prawdziwego człowieka. Powinien on wyglądać w naszych powieściach, nowelach czy reportażach taki, jaki jest w życiu, ale wszak nasza ingerencja w środowisku zmienia je, deformuje w mniejszym lub większym stopniu badane środowisko, ludzie pod naszym wpływem zachowują się inaczej niż zwykle, a więc otrzymany obraz tylko w jakiejś części będzie prawdziwy. Jest to stanowisko fałszywe. Jeżeli bowiem przyjmujemy marksistowską, a więc klasową postawę obserwacji, to równocześnie słusznie przewidujemy, że zgodnie z prawami rozwoju społecznego rzeczywistość przesuwa się w walce ku socjalizmowi, nawet wtedy, gdy w małej odległej wsi na nią nie wpływamy. To co widzieliśmy wczoraj jest inne od widzianego dzisiaj. Prawdą jest ruch, zmiany, w rezultace dawny parobek staje się coraz dojrzalszym działaczem partyjnym. Nie tylko zatem można ale należy zmiany te przyśpieszać, wpływać na nie bezpośrednio. Nie może być za tem jakiegoś specjalnie literackiego, czy pisarskiego punktu widzenia. Obowązuje natomiast klasowe widzenie obserwowanej rzeczywistości, nie inne u pisarza niż terenowego działacza-aktywisty. Stać się to może wtedy, kiedy pisarz przestanie siebie odróżniać od działacza terenowego-aktywisty.

Przypominam sobie zebranie w obserwowanej przez mnie wsi. Poprosili mnie na nie ZPM-owcy. Chodziło o zobowiązanie miejscowego nauczycielstwa do wzięcia czynnego udziału w pracy politycznej i kulturalnej na terenie gromady. To jest zupełnie co innego zapisać wiernie przebieg zebrania, którego jest się obserwatorem, co innego zaś atakować wymigujących się od pracy politycznej, zdolnych i cieszących się ogólnym uznaniem nauczycieli i z tej sytuacji wynieść obraz — odbicie rzeczywistości nauczycielskiej. Dopiero uczestniczenie w walce o nauczycielstwo można nazwać *marksistowską sytuacją pisarza.*

Droga włączania się w walkę w gromadzie to jedyny sposób prawdziwego poznania problematyki klasowej. Cóż ma bowiem rozstrzygać o prawdzie jeśli nie praktyka. Jest to ponadto jedyna droga powstania soc-realistycznej powieści, noweli czy reportażu.

W. J.

Kultura to też polityka

Gdy widzimy z jaką energią „Zielony Sztandar" i „Chłopska Droga" walczą o realizację polityki partii w sprawach wiejskich, rozgrywając dziś decydujące dla wsi bitwy o ograniczenie elementów kapitalistycznych i rozszerzanie socjalistycznych, prawem kontrastu zdumiewa bezplanowość chaos i brak rozmachu w ich walce o nową treść kultury. „Zielony Sztandar" z inwencją, którą należałoby podziwiać, gdyby dawała pozytywne rezultaty, przerzuca się od pomysłu do pomysłu, nie mogąc zdecydować się na formę, w jakiej będą podawane wiadomości kulturowe. Ma to być kronika kulturalna, to znów dział „Cświata i kultura", w międzyczasie inicjuje się „Gawędy o książkach", wszystko zaś poto, aby po kilku próbach pomysłu zaniechać i przez szereg numerów sprawy kultury pomijać milczeniem (w tym czasie redakcja poszukuje prawdopodobnie nowego pomysłu). Artykułów tzw. problemowych jest mało, ich tematyka robi wrażenie wyboru przypadkowego, w najlepszym razie przebiega między rocznicami a ogólno - państwowymi imprezami kulturalnymi. Nr. 12 „Zielonego Sztandaru" przynosi słuszny artykuł J. N. Kłosowskiego pt. „Wieś czeka na swoich pisarzy". Niestety już w nr. 15 (Nr. 13, 14 nie poruszają wcale problematyki kulturalnej) „Zielony Sztandar" porzuca tę sprawę na rzecz przypadkowego zainteresowania dialektologią w artykule pt. „Kilka słów o tzw. mazurzeniu". Potem zaś według systemu „jak się zdarzy" padają słowa o Mickiewiczu, Kołłątaju (z powodu rocznicy), czy Kraszewskim. Czytelnik zdumiewa się tą „inteligencką" zmiennością nastrojów kulturowych „Zielonego Sztandaru" i kompletną prawi nieobecnością problematyki oświatowo-kulturalnej w Chłopskiej Drodze" — zdumiewa się i ma prawo zadać redakcjom obu pism pytanie, czym taki stan rzeczy jest spowodowany?

Czy „Zielony Sztandar" i „Chłopska Droga" są zdania, że robotę kulturalną powinien za nie wykonać kto inny, czy uważają, iż sprawa walki o nową kulturę na wsi jest politycznie nieważna, czy wreszce cierpią na brak kadr pisarskich?

Jeśliby nawet te zadania wykonywał kto inny — np. „Wieś", „Nowa Kultura", to trzeba, aby pismo masowe przejęło na siebie funkcję *transmisji* w tym zakresie.

Jeśli brak kadr pisarskich, to co najmniej trzeba wydobyć korespondentów, którzy ukażą faktyczny stan kultury na wsi i tok walki o nią w terenie.

Wit.

Dyskusja ogonowa

Stefan Kisielewski (czytaj: Kisiel) lubi namiętnie dyskutować. Nie jest rzeczą szkodliwą, że ktoś ma taką namiętność. Ale jest rzeczą szkodliwą, jeżeli ktoś dyskutuje publicznie o rzeczach co najmniej zbędnych, tylko gwoli zaspokojenie prywatnego „niepokoju" lub niewiedzy. Niepotrzebny nikomu niepokój udziela się najbliższemu otoczeniu.

Oto przykład. W 24 numerze „Tygodnika Powszechnego" Kisiel, replikując na artykuł ks. Piwowarczyka, z entuzjazmem wszczął dyskusję o liberaliźmie (sic!). Zaraził tym entuzjazmem wspomnianego i innego publicystę tego pisma (i jak wynika z uwagi wstępnej Redakcji jeszcze wielu innych ludzi). Wszczęto krzyk wokół nieboszczyka. Kisiel należy do tych, którzy chcą go wskrzesić i przyznają mu prawo do życia.

Nie warto wdawać się w spór na temat powodzenia takiej „chętki". (Rzecz oczywista, iż jest ona „głosem wołającego ona puszczy"). Pragniemy jednak zwrócić uwagę Kisiela, ażeby, po pierwsze,, głosząc tezę o ponadczasowości liberalizmu, nie zapominał o tym, w jakich warunkach czasu i miejsca sam żyje i działa (podpowiadamy: rok 1950, Polska Ludowa — gdzież ponadczasowość jego liberalizmu?), i, po drugie, ażeby zdał sobie sprawę z tej „komunalnej" prawdy socjologicznej, iż te same hasła, znaki, symbole (np. „zasady" liberalizmu) wyrażają w różnych sytuacjach społeczno-historycznych różne opinie i interesy różnych grup społecznych (i tu podpowiadamy: liberalizm Kisiela to przecież ideologia tzw. „prywatnej inicjatywy").

Pytamy: PO CO? Po co w 1950 r., w kraju, gdzie buduje się socjalizm, dyskutuje się o zastosowaniu ideologii kapitalizmu? Po co broni się tej ideologii przy pomocy mętnych frazesów — „zasad" „wolności jednostki", „pierwotności jednostki" itp.

Proponujemy dyskusję o ogonie. Możnaby np. rozprawiać o koncepcji pewnego myśliciela sprzed 125 lat, który zapowiadał, iż człowiek dojdzie w swoim rozwoju biologicznym do stadium, w którym rozwinie mu się ogon jako człon szczególnie ważny pod względem społecznym. Byłby to temat równie godny przedyskutowania dziś jak liberalizm.

Proponujemy uparcie (podobnie jak Kisiel — o liberalizmie) dyskusję o ogonie. O o g o n i e h i s t o r y i. Pewna część ludzi wlecze się w ogonie rozwoju historycznego. Stawiamy zagadnienie: jakie jest miejsce Kisiela i jego „braci w liberalizmie" w ogonie rozwoju poglądów społecznych? Twierdzimy, iż bardzo ogonowe, obliczone na to, aby rzepem obrósł psi ogon. Bo czym dziś?

Z. Ch.

List

Droga Redakcjo!

Ja nie jestem przyzwyczajony do pisania listu na liście bez linii i dlatego proszę Cię wybacz mi. Nie miej mi to za złe. Ja wolałbym papier do pisania w kratkę.

Dziękuję Ci za 20 kopert, 15 arkuszy papieru listowego, za 12 znaczków pocztowych po 15 złotych. Ale za mało przysłaliście mi papieru listowego, ażeby mi starczyło na długie listy do Ciebie, potrzeba mi jest 50 arkuszy w kratkę i 20 znaczków po 15 zł. i po 5 zł. Jestem biedny toteż proszę o przysłanie reszty papieru i znaczków pocztowych. Do tego czasu jeszcze nie otrzymałem instrukcji i gazet żadnych. Dlaczego Wy nie posiadacie wszystkich numerów gazety? Ja bym chciał mieć wszystkie numery, oprawić w książkę i włączyć do swej biblioteki. Ja mam dopiero kilka książek jako zalążek mojej biblioteki. Ja chcę, aby książki służyły wszystkiej ludności, a nie tylko dla mnie. Te kilka książek wypożyczam kolegom do czytania, którzy garną się do książki wszelkimi siłami. Gdy będę miał większą bibliotekę, i będę mógł wypożyczać książki wszystkim dzieciom, uczniom i wszystkim ludziom, aby rozszerzali wiedzę i uczyli się prawdy. Gdy będę miał książki, będę zwalczał plotkę, analfabetyzm i nieuczciwość. My chcemy mieć książki „Matka" Gorkiego, „Piotr I", „Krzyżacy", „Lalkę", „Faraona", „Czarna Perełka", „Niczyjak", „Roztoki", „Dziady", „Traktory zdobędą wiosnę", „Światła w Koordi", „Quo Vadis" i książki o harcerstwie, ZMP i SP.

Chodzi nam o pisma, jak: „Młody Żeglarz", „Świat Młodych", „Pokolenie", „Po prostu" i „Świat Przygód". Ile kosztuje ich prenumerata i jakie są one? My chłopcy z Wydrzyna, chcemy je czytać, ale nie mamy pieniędzy na prenumeratę ich. Poradź, co mamy robić?

Droga Redakcjo, wystaraj się o to, abyśmy otrzymywali bezpłatnie dalsze książki Biblioteki „Trybuny Ludu". Ja czytam siedem pism i prenumeruję takie jak „Rolnik Polski", „Gromada", „Chłopska Droga", „Przyjaciółka", „Sztandar Młodych", „Nową Wieś" i „Świerszczyk". Aby prenumerować tyle pism, trzeba dużo płacić. Ja jestem biedny, toteż więcej już nie mogę nic prenumerować.

Współzawodnictwo w naszej szkole polega na tym, żeby znieść doszczętnie wszystkie dwójki. Przez współzawodnictwo na trzeci okres zmalała ilość dwójek, a na koniec roku może nie będzie ani jednej.

Czy za zamieszczony artykuł w gazecie redakcja przyznaje nagrodę, czy nie?

Zasyłam serdeczne pozdrowienia. Pracy cześć!

Kowalczyk Józef
wieś Wydrzyn.

Książki dla wsi i o wsi

Będąc w Sosnowcu obszedłem wystawy księgarń, rozmyślając o przebłyskach dających nadzieję, że książki trafią do mieszkań robotniczych i chłopskich. Była wszak już piękna biblioteczka „Romansów i Powieści", która za 50 złotych dawała czytelnikowi dużo radości i nauki. Była biblioteka K.U.K. — również dostępna dla przeciętnego człowieka. Były i wydawnictwa „Trybuny Robotniczej" „Gromady" itp. po 90 zł. za sztukę.

Książki te mogłem nabywać, bo na tyle było mnie stać.

Przed kilku dniami przeczytałem gdzieś o nowowydawanej bibliotece 100 złotowej. Ciekawy jakie to też książki są za te sto złotych, skorzystałem z okazji pobytu w Sosnowcu i kupiłem wszystkie trzy książki, jakie w tej serii wyszły.

„Czarna Perełka" — Kraszewskiego, *„Światła w Koordii"* — Leberhektha i *„Traktory zdobędą wiosnę"* — Zalewskiego. Tę ostatnią zareklamował szczególnie artykuł we „Wsi". Krytyczny artykuł dodaje książce posmaku, zdążyłem jeszcze kupić ostatni egzemplarz jaki był na wystawie.

Byłem naprawdę zachwycony tym nowym wydaniem. „Czytelnik" poważnie zaskarbi sobie wdzięczność szarej braci czytelniczej, gdy wyda takich książek jeszcze kilkadziesiąt tomów. To są książki, które winny zalać naszą wieś i powinny znajdować się nie tylko w każdej świetlicy wiejskiej, ale w każdym domu. To jakby brat odwiedził brata. Książki te winny znaleźć się w każdej Gminnej Spółdzielni i w każdym kiosku miasteczkowym. Boję się tylko czy ich starczy. 20 tysięcy „Świateł w Koordii", 20 tysięcy „Czarnej Perełki" i tyleż „Traktory zdobędą wiosnę" to jest ogromnie mało — zaledwie po kilka na jedną gminę.

„Czytelniku" więcej pozycji z tego wydawnictwa i więcej egzemplarzy w każdej pozycji daj polskiej wsi. Jak w Kordii gromadny wysiłek osuszył wężowe bagno, tak Twój „Czytelniku" wysiłek i pisarzy z Tobą współpracujących niech tymi książkami wypędzi ze wsi marazm kapitalistyczny, egoizm dorobkiewiczowski i bezduszny snobizm.

Szkoda, że co jest dobre i tanie, tego jest mało.

Jan Jelonek

Książki nadesłane

Pasternak Leon — Strofy Gniewu, str. 98.

Kowalska Anna — Uliczka klasztorna, str. 161.

Wielkopolska Księgarnia Wydawn.

Wasserman Jakub — Krzysztof Kolumb, str. 222.

Robert Ludwik Stevenson — Dr Jekyll i Mr. Hyde, str. 352.

Grodzieńska Stefania — Rozmówki, str. 296.

A. J. Cronin — Klucze królestwa, str. 363.

J. O. Curwood — Szara wilczyca, str. 243.

J. O. Curwood — Najdziksze serca, str. 218.

J. O. Curwood — Bari — syn szarej wilczycy, str. 242.

Wydawnictwo „Gebethner i Wolff"

Władysław St. Reymont — Komediantka — str. 403.

Władysław St. Reymont — Fermenty I, II tom — str. 285 i 275.

Jonatan Swift — Podróże Guliwera, str. 303, Władysław Orkan — Juzyna, str. 64. J. M. Rytard i H. Raj — Koleba na hliniku, str. 191.

Państwowy Instytut Wydawniczy

P. Pawlenko i M. Cziaureli — Upadek Berlina, str. 107, Tadeusz Borowski — Opowiadania z książek i gazet, str. 152, Alojzy Jirasek — Skalakowie, str. 312, Karol Dickens — Klub Pickwicka I, II, III. IV tomy, Aleksy Fiodorow — Podziemny komitet obwodowy działa, str. 206, Jan Petersen — Nasza ulica, str. 243, Cherry Kearton — Wyspa pięciu milionów pingwinów, str. 190, Jan Laffitte — Milczące maszty, str. 173, Sieroszewski Wacław — Nowele, str. 249

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89, wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OŚW. „C Z Y T E L N I K"
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
W a r u n k i p r e n u m e r a t y:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś"
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5
B-110220